GAZETA
LEŚNA i MYŚLIWSKA
DWUTYGODNIK ILUSTROWANY
DLA WŁAŚCICIELI LASÓW, LEŚNICZYCH, MYŚLIWYCH i MIŁOŚNIKÓW PRZYRODY
Redakcja i Administracja: Nowy Zjazd 7. Telefon 248-82. — Wydawca i kierownik literacki Gustaw Buseck-Busecki.
№ 16. WARSZAWA, 15 Sierpnia 1913 r. Rok II.

Prof. Dr. Schwappach.

Pielęgnowanie drzewostanów sosnowych na słabych siedliskach.

Pod tytułem powyższym znajdujemy w miesięczniku „Zeitschrift für Forst-und Jagdwesen" artykuł znakomitego uczonego prof. d-ra Schwappacha, który zarówno ze względu na powagę autora, jak i na interesujący temat przytaczamy poniżej w całości.

Udatność prowadzonych szczególniej starannie i gorliwie kultur na słabych siedliskach, na haliznach i lichych gruntach raduje w przeważnej części wypadków już w pierwszych 10 latach oko i serce troskliwego leśnika. Niestety, obraz zmienia się bardzo często już po upływie kilku lat. Rosnące początkowo bujnie rośliny zatrzymują się w swoim dalszym wzroście, pędy roczne spadają już po 10-ciu do 15-tu latach do nadzwyczaj małych rozmiarów, w 20-tym roku rozpoczyna się ukazywanie placów wymierających, drzewka o grubości zaledwie wielkiego palca łamią się, w chorowitych drzewach rozwijają się szkodliwe owady wszelkiego rodzaju, ziemia pokrywa się szarym mchem — słowem objawiają się wszelkie zjawiska drzewostanów lichych i marniejącej ziemi, na który to widok odwracać się najlepiej z dreszczem.

Ten rozwój nie ogranicza się w żadnym razie na ziemiach dawniej nie zalesionych, lecz znajdziemy go również na starych ziemiach leśnych. Szczególniej smutnie przedstawia się fakt, że takie same spostrzeżenia robione są w rozmiarach wcale niepocieszających na przestrzeniach wielkich halizm na wschodzie, gdzie widzimy, iż drzewostan w wielu miejscowościach jest zagrożony.

Jeżeli obserwować będziemy tego rodzaju drzewostany dłużej, to wtedy okaże się, że stan chorobliwy po przebyciu bądź dłuższego, bądź krótszego okresu, podczas którego powstrzymany został wzrost i objawiło się zamieranie, przechodzi zwolna, i że drzewa zdolne do dalszego życia przychodzą do siebie i ładnie rosną dalej.

Znamienne przeciwieństwo do tego stanowi często rozwój sąsiadujących z sobą, dobrze rosnących, starych drzewostanów, albo też miły rozrost pojedynczych samosiewek, nawet na przestrzeniach dotkniętych chorobą. Fakta takie dowodzą przedewszystkiem, że skład gleby, jak to zresztą analiza potwierdza w wielu wypadkach, zupełnie wystarcza do rozwoju sosny, ale natomiast nie wystarczające są warunki odżywiania młodego drzewostanu podczas takiego krytycznego okresu.

Jako przyczynę przejściową stanu chorobliwego uważać należy stosunek nienormalny ilości pni do zapasów odżywczych w ziemi.

Przy tworzeniu drzewostanów sosnowych na słabszych siedliskach wychodzimy z zasady w wielu razach słusznej, że grunt powinien być o ile możności najprędzej pokryty, ażeby ziemia nie została jeszcze więcej zubożona przez zmywanie wodą. Z tego samego powodu drzewostany na tego rodzaju siedliskach bywają zazwyczaj bardzo słabo przetrzebiane, ażeby broń Boże nie powstala „dziura" i ażeby grunt możliwie był pokryty. Tymczasem rozwój sosen z powodu niekorzystnych warunków odżywiania jest tak lichy, że tylko bardzo wolno niektóre indywidua, z natury lepiej wyposażone, rozwijają się dostatecznie silnie, ażeby słabszych sąsiadów zgnieść i tym sposobem dla siebie zyskać

lepsze warunki odżywiania. Na dobrych gruntach ta „walka o byt" rozgrywa się wcześnie i energicznie, na słabych siedliskach jednak za mało jest takich silnych indywiduów, wobec czego z glodu i pragnienia wymierają całe grupy drzew.

U świerków wstrzymanie rozrostu na przesianych kulturach i w gąszczach jest już oddawna znane. Bohdanecki i Schiffel zjawisko to poddali dokładniejszemu badaniu i dowiedli niezbicie, że dobry rezultat, szczególniej na słabych siedliskach, osiągnąć można przez wczesne zmniejszenie ilości sadzonek.

U sosny warunki są takie same i przyczyny szukać należy tak samo, jak to dowiedziono u świerków.

Szczególniej charakterystyczny przykład dla dowiedzenia wpływu ilości pni na powstrzymanie rozwoju drzew dają mi dwie drzazgi, wydobyte świdrem Presslera, jakie zebrałem w nadleśnictwie w Bipsgarden w Szwecji (63° szer. pół.).

Przeciętna średnica drzewa w zdumiewająco gęstym obrębie samozasiewnym wynosiła w 58-ym roku życia 8 cm., gdy natomiast partja drzew, rosnących w sąsiedztwie w luźnem zwarciu, miała w 48-ym roku średnią grubość 24,2 cm. Przykład ten jest tembardziej zaciekawiający, że mówi się tu o silnej glebie, nie zaś o lichych ziemiach piaszczystych. Ale i tutaj nawet nadmiar indywiduów wpłynął na wstrzymanie rozrostu w tak ogromny sposób.

Jak niekorzystnie wpływać muszą ilości pni 7—8000 sztuk o przeciętnej średnicy 9 cm., jak to np. znalazłem w nadleśnictwie Komusin w rejencji Olsztyńskiej jeszcze w wieku starszym niż lat 40, to chyba łatwo sobie wyobrazić zwłaszcza tam, gdzie grunta są znacznie uboższe, a opady atmosferyczne mniejsze, aniżeli w Szwecji Północnej.

Bardzo wyraźnie odróżnić mogłem niekorzystny wpływ gęstych drzewostanów w r. 1912-ym w majętności Schweinert w Meklemburgii, gdzie grunt jest bardzo ubogi i piaszczysty. Za czasów, gdy majątek ten był własnością księcia Hohenzollerna, zarząd tamtejszy kazał zaprowadzić kultury po części z większą, po części zaś z mniejszą ilością roślin (1,60 i 1,20 m.) odstępów w rządkach. Kultury te mają dziś po za sobą 20—25 lat rozwoju, tam też można stwierdzić stanowczą przewagę w kulturach uboższych pod względem ilości pni.

Jako dalszy dowód na poparcie twierdzenia, że zmniejszenie ilości pni umożliwia poprawę warunków odżywiania, przytoczę tu jeszcze wynik próby, którą poleciłem dokonać w kwaterze 17-tej lasu miejskiego w Eberswalde.

Na siedlisku sosnowem 2-ej klasy, przez dłuższy czas z lubością prowadzono sadzenie czterech flanc na jednem miejscu.

W dziesięcioletniej kulturze kazałem co cztery rzędy odosobnić, podczas gdy pomiędzy niemi pozostały zawsze jeszcze cztery rzędy w dawnej pozycji.

Już po dwóch latach korzystny wynik tego zarządzenia okazał się nietylko w lepszym przyroście co do grubości drzew, lecz przedewszystkiem również w silniejszym rozwoju na wysokość w rzędach odosobnionych. Jeszcze teraz nawet, po 4-ch latach od rozciągnięcia tej metody na całą przestrzeń, odrazu można poznać najpierw odosobnione rzędy, jako wyżej wyrośnięte. To zwiększenie się wzrostu na wysokość zasługuje na szczególniejszą uwagę dlatego, że stoi ono w sprzeczności z szeroko rozpowszechnionym poglądem, jakoby wzrost ten miał się zmniejszać w luźniejszem zwarciu.

Jeżeli przyjmiemy za rzecz prawdopodobną, że możność wyżywienia się w gąszczach i drągowinach nie jest wystarczająca dla zbyt wielkiej ilości indywiduów, to zachodzi teraz pytanie dalsze, jakie materjały odżywcze powinny się tam znajdować w minimalnej ilości, czy popiół, czy woda?

Na podstawie dokonanych analiz gruntu, dalej na podstawie całego szeregu doświadczeń, których rezultaty po części przytoczę jeszcze poniżej, jak również na mocy rozlicznych obserwacji, doszedłem do przekonania, że najczęściej mniejszy brak okazuje się pożywnych materji mineralogicznych, a szczególniej kwasów fosforowych i potasu, aniżeli wody. A ponieważ z wilgocią w ścisłym związku stoi działalność bakterji, przeto w tych warunkach działalność ta również się zmniejsza. Zapas próchnicy i związana z nią zawartość azotu musi być w tego rodzaju drzewostanach również nadzwyczaj mały.

Wiem doskonale, że istnieją przestrzenie ziemi, składające się z czystego piasku kwarcowego, gdzie zatem nietylko brak jest wody, ale również składników mineralogicznych. Na szczęście tego rodzaju przestrzenie należą do wyjątków i wogóle nie nadają się do zalesienia.

Grzyb korzeniowy nie wywierał w przeważnej części omawianych tutaj wypadków roli. Choroba ta przechodzi zupełnie niezależnie od tych czynników i objawia się tak samo dobrze na słabych, jak i na mocnych gruntach, tak samo w gęstych i rzadkich drzewostanach, jak nawet w drzewach parkowych, stojących w odosobnieniu.

Z powodu niedostateczności zapasów pożywnych, a szczególniej z powodu braku wody, koniecznej do wyżywienia nadzwyczaj licznej gromady indywiduów, wytwarza się konieczność przedwczesnego i w wielkim zakresie objawiającego się zmniejszenia ilości pni. Metodę tę trzeba zastosować możliwie najwcześniej, ażeby niedopuścić do niebezpiecznego zaniku rozwoju, który powoduje karłowacenie koron.

Najidealniej odbywałoby się to zmniejszanie ilości pni, gdyby szło równolegle i w ciągłym związku z postępującym naprzód rozwojem kultur.

Należałoby rozpocząć przecinanie kultur, zwracając równocześnie uwagę na usuwanie wadliwych pod względem kształtów drzew, jeszcze przed nastąpieniem zwarcia i ilość pni ograniczyć mniej więcej na 10,000 indywiduów w wieku od 10—15 lat na hektar*).

Doświadczenie, jakie kazałem w rozmaitych miejscowościach przeprowadzić z tą metodą, zawsze jaknajlepsze wykazały rezultaty. Nakład pracy jest bardzo mały i wprawny robotnik przy pomocy nożyc trzebieżowych, może w ciągu jednego dnia bardzo dobrze doprowadzić do przecięcia całego hektara**).

Z chwilą, gdy już nastąpiło zwarcie, musi upłynąć zawsze około dziesięcioletni okres czasu, zanim stanie się rzeczą możliwą pracować w gąszczach. Ogólnie przyjęto 20 lat wieku jako najwcześniejszą porę do rozpoczęcia pielęgnowania drzewostanu za pomocą trzebieży.



Raz jeszcze kładę tutaj nacisk, że ten środek należy zastosować o ile możności najwcześniej, ażeby zapobiedz karłowaceniu koron, i ażeby utrzymać jaknajwięcej indywiduów siako tako zdolnych do rozwoju.

Jeżeli tego rodzaju drzewostan zbyt długo pozostawiamy własnemu losowi, to nastąpi taki stan rzeczy, że górę wezmą indywidua fizjologicznie silniejsze, które jednak pod względem kształtu swojego strzału i pod względem rozwinięcia korony bardzo mało okażą się pożądane, gdy tymczasem lepiej ukształtowane, średnio-grube klasy, na których spoczywa cała przyszłość drzewostanu, albo bardzo wolno będą się poprawiały, albo też wogóle już uległy wymarciu.

Dochód otrzymany za takie poręby oczywiście w przeważnej ilości wypadków nie pokrywa nawet kosztów robocizny, chodzi jednak o zastosowanie środka o decydującem znaczeniu dla całego rozwoju drzewostanu, a wówczas kwestja kosztów nie powinna wcale wchodzić w grę.

Jeżeli przy wczesnem rozpoczęciu tego rodzaju trzebieży głównie zależy na zmniejszeniu ilości pni, ażeby korony pozostałych lepszych drzew nie naciskały siebie, lecz miały nieco przestrzeni do dobrego rozwoju, to przy późniejszem rozpoczęciu należy największy położyć nacisk na to, ażeby o ile możności pozbyć się źle ukształtowanych drzew o szerokich koronach, a wówczas nie trzeba bojaźliwie oglądać się na to, czy utrzymane zostanie zwarcie. Jak daleko w tym kierunku można się posunąć, to już zależy od jakości drzewostanu. Sprawa to już drugorzędna, gdy pozostawimy podszycie, złożone z materjału zdolnego jeszcze do życia. Ogólnie biorąc, można w tego rodzaju drzewostanach 30-letnich jako dopuszczalne uważać 2,500 — 3,000 szt. pni na 1 ha.*).

Obok zmniejszenia ilości pni znakomity środek tworzy, pozostawienie słabszych drzew rozgałęzionych jako pokrycie gruntu, podnosi to bowiem jakość gleby i dopomaga do rozwoju pozostałego drzewostanu.

Jako dowód przytoczyć tu muszę znakomite rezultaty, osiągnięte przez pokrywanie resztkami roślin ziemi przy nawożeniu kultur (gałęzie, słoma łubinowa, łęty kartoflane, plewy, wrzos i t. p.), szczególniej na ubogich powierzchownie gruntach.

W tej kwestji nadzwyczaj zajmująco przedstawia się wyjątkowo korzystny wpływ pokrycia gałęziami gruntu na 10—20 cm. wysokości na rok przed dokonaniem kultur. To pokrycie pozostaje również później, a dopo-

---

*) 5,000 na morgę polską.
**) ha=2 morgi polskie.

*) 1,250 do 1,500 pni na morgę polską.

maga ono do rozwoju roślin sosnowych więcej, aniżeli gdy poprzednio grunt nawieziony został żużlami Thomasa i kainitem po dokonaniu przeduprawy łubinowej.

W leśnictwie Neumannswalde wykonane w roku 1910-ym kultury wykazywały przy końcu 1912-go roku następujące wysokości przeciętne (ta przeciętność wzięta jest ze 120 pomiarów):

Pokryte gałęziami.	Nawiezione łubinem.	Nie nawiezione.
cm.	cm.	cm.
57	45	34

Różnica na korzyść pokrycia gałęziami wynosiła tedy przy końcu trzeciego roku rośnięcia kultur 23 cm., a z wyglądu te same różnice ukazują się bardzo wyraźnie.

To już po krótkim czasie występujące na jaw korzystne działanie tego rodzaju pokrycia najmniej można przypisać wzbogaceniu głównej warstwy ziemi w części popiołowe, jako skutek wymycia i gnicia stosunkowo obficie znajdujących się gałęzi i iglic, to bowiem odbywa się znacznie wolniej i oddziaływa trwale.

Tak szybki wynik pokrycia przedewszystkiem przypisać należy utrzymaniu wilgoci w ziemi, i co za tem idzie, ożywieniu życia bakterji.

Przypuszczenie to potwierdziły dokonane przez prof. d-ra Alberta próby, będące powtórzeniem prób w Neumannswalde, a odbyte w lesie miejskim w Eberswalde w ciągu odpowiedniego, wyjątkowo suchego lata 1911-go roku *).

Pozostawiono tutaj na przestrzeni doświadczalnej, obejmującej 1 hektar, trzecią część w każdej z dwóch próbnych przestrzeniach nieporuszoną, druga część trzecia pokryta została na wiosnę 1911-go roku świeżemi gałązkami sosnowemi o ile możności najrównomierniej, podczas gdy ostatnia część trzecia w kwietniu została płytko przeorana żużlami Thomasa i kainitem nawieziona i w końcu maja łubinem zasiana.

Na początku tych doświadczeń (pierwsze dni kwietnia) zawartość wody była na całej przestrzeni wszędzie równie wysoką, ale już bardzo prędko zaczęła się wyraźnie zaznaczać różnica pomiędzy temi trzema, w tak różny sposób potraktowanemi działkami, a ku jesieni różnica ta stawała się jeszcze wyraźniejsza. W działce nietkniętej spadła zawartość wody już podczas pierwszego krótszego okresu suszy w czerwcu do 1,5%, a więc prawie do suchości powietrza, t. j. do takiego stanu, w którym ziemia nie może już odstąpić wody dla wegetacji. Wobec tego już na początku lipca wegetacja, złożona z *Aira flexuosa i canescens, Festuca ovina* i t. p. zupełnie obumarła. Jakkolwiek miesiące maj i czerwiec przyniosły z sobą jeszcze normalne opady deszczowe, to przecież zawartość wody w nieporuszonej działce spadała ustawicznie aż do 1% na początku sierpnia i woda opadowa nie mogła się już wcale dostać do wnętrza ziemi. Krzywa linja zawartości wody w dwóch innych działkach trzymała się aż do jesieni równolegle z krzywą linją opadów.

We właściwych miesiącach posuchy, w lipcu i sierpniu, wysuszenie nieochronionego niczem gruntu przeszło również na głębsze warstwy tak, że grunt ten około jesieni aż do 40 cm. głębokości nie miał już w sobie wody, którejby mógł udzielić roślinom.

Bez porównania lepiej przetrwał suszę grunt, pokryty gałęziami, ale nie mniej również korzystny wpływ płaskiego obrobienia ziemi wystąpił wyraźnie.

Ilość opadów i zawartość wody w górnej (do 20 cm.) (a) i w dolnej warstwie (21—40 cm.) (b) objaśnia nam następująca tablica:

Miesiąc	Ilość opadów w mm.		Zawartość wody w proc. wagi: Pokrycie gałęziowe	Obrobione łubin.	Nietknięte
Kwiecień . .	29	a	10,34	8,97	8,64
		b	7,92	6,88	5,90
Maj	45	a	8,15	8,32	6,59
		b	7,20	6,69	5,86
Czerwiec . .	54	a	6,81	5,55	4,08
		b	6,60	5,50	4,21
Lipiec . . .	26	a	7,01	5,22	2,97
		b	6,38	4,30	2,88
Sierpień . .	18	a	5,69	3,76	1,76
		b	3,91	2,91	1,91
Wrzesień . .	36	a	4,21	3,79	2,18
		b	4,22	2,69	2,38

Na podstawie powyższych danych wolno wnioskować, że podjęte w porę i celowo zmniejszanie ilości pni, połączone z nawiezieniem gruntu zapomocą słabych, a zwykle trudnych do zbycia gałęzi, tworzy znakomity środek do poprawy gruntu, do poprawienia przyrostu, i osiągnięcia, stosownie do istniejących warunków, największego przyrostu wartościowego.

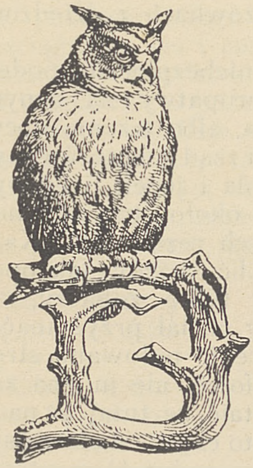
Pierwsze próby tego rodzaju pielęgnowania drzewostanów rozpocząłem przed 8-miu laty w lesie miejskim w Eberswalde na zakupionych przestrzeniach pod Britz. Przestrzenie te złożone są z lichych, opuszczonych piasków w dolinie. Okrągło 60 hektarów przerobiono tutaj przeważnie zle wyrosłych 30—40-letnich drzew. Obecnie drzewa te rozwijają się tak dobrze, jak to tylko w danych warunkach jest możliwe.

Poczynione tutaj obserwacje skłoniły mnie jednak do nabrania przekonania, że trzebieże rozpoczynać trzeba o ile możności we wcześniejszym wieku, jak to już powiedziałem powyżej.

(Dokończenie nastąpi).

*) Prof. Albert: „Einfluss einer Bedeckung auf den Wassergehalt von Kieferböden".

Polowanie strefowe na kuropatwy.



Do najulubieńszych rodzajów polowań na kuropatwy należy w Czechach, na Morawach i w sąsiednich okolicach t. zw. polowanie strefowe, czyli masowe. Wielu myśliwych nie podziela tego poglądu, uważają oni bowiem, że wszelkie polowania odbywające się w licznem gronie niewiele są warte i że najlepiej poluje się we dwie, albo najwyżej trzy strzelby. Dużo w tem racji, rzeczywiście bowiem większą przyjemność sprawia kroczenie po polach z jednym albo dwoma przyjaciółmi, wyszukiwanie jednego stadka po drugiem, aniżeli takie masowe ekskursje na kuropatwy, gdzie trzeba słuchać bezwzględnie rozkazu, gdyż inaczej nigdy nie osiągnie się dobrych rezultatów. Jeżeli wszakże chodzi o to, ażeby jaknajwiększej ilości myśliwych dać możność polowania i jeżeli chodzi o to, ażeby możliwie największą przestrzeń za jednym zamachem opolować, to wówczas tego rodzaju metoda polowania przedstawia niemałe zalety. Można wówczas przez cały dzień polować, a jeżeli pole jest duże, to można podjąć kilka stref równoległych. Jeżeli znów na polu znajduje się bardzo dużo kuropatw, to można dwa albo trzy razy dokonać w tem samem miejscu polowania, stada bowiem poderwane nie bywają odrazu wytępione, lecz tylko spłoszone i kuropatwy zapadają w innem miejscu.

Sam sposób urządzania polowań strefowych, podług zasad przyjętych w Czechach, jest następujący: myśliwi i naganiacze wychodzą z jednego wspólnego punktu, stosownie do rozporządzenia kierownika polowania. Droga, na której zebrało się towarzystwo myśliwskie, tworzy zwykle granicę całego terenu. Przypuśćmy, że naprzeciw tej drogi znajduje się las. W takim razie kierownikowi polowania musi zależeć przedewszystkiem na tem, ażeby obie granice, t. j. drogę i las, oskrzydlić i tym sposobem zapobiedz wymykaniu podrywających się kuropatw na prawo lub na lewo. Z punktu zatem głównego, przedstawionego na naszym szkicu jako Nr 1, kilkunastu myśliwych rozsyła je na oba skrzydła (Nr 7 i 8), oraz kieruje ich w stronę lasu i drogi (Nr 9 i 10).

Pomiędzy tymi myśliwymi znajdować się mogą także osoby, protegowane przez kierownika polowania; jak bowiem wiadomo, wypłoszone kuropatwy zawsze kierują się ku lasom. Wobec tego myśliwi znajdujący się na skrzydłach, mają więcej sposobności strzelania. Innych myśliwych (na szkicu naszym od Nr 1 — 7) rozdziela kierownik o ile możności w prostej linji wzdłuż pola na odległość strzału. Pomiędzy jednym a drugim myśliwym umieszcza się po dwóch, albo i więcej naganiaczy. Co trzeci, a najwyżej co czwarty strzelec powinien mieć dobrze wytresowanego psa, o co najczęściej bywa trudno.

Kierownik polowania obiera sobie stanowisko w najważniejszym punkcie linji strzeleckiej, a więc albo w środku, albo też, gdy potrzeba czynić skomplikowane zwroty, na jednem ze skrzydeł. Ilość myśliwych i naganiaczy ustanawia się w proporcji do wielkości rewiru, albo też do szerokości całego terenu, przyczem linja strzelców, jak to później zobaczymy, może być również bardzo rozciągła. Zbyt wielu myśliwych nie powinno się zapraszać na polowanie nawet wtedy, gdy pola są rozległe, gdyż cały aparat posuwać się będzie z trudem naprzód.

Jako naganiaczy używa się zwykle wyrostków, którzy poprzestają na małem wynagrodzeniu. Jak widzimy z tego, cała ta metoda polowania nie jest zbyt kosztowna, chociaż tak utrzymują jej przeciwnicy.

Gdy już cała linja została obsadzona, wtedy kierownik polowania daje sygnał: „naprzód“! i cała kawalkata zaczyna się zwolna posuwać naprzód, przyczem główną zasadę tworzy to, ażeby ruch odbywał się równomiernie. Wszelkie wysuwanie się raptowne naprzód, albo też pozostawanie w tyle musi być surowo zabronione, i to nie dlatego, ażeby jeden myśliwy nie zyskał nad drugim przewagi, ale dlatego, że przy nierównej linji łatwo o wypadek postrzelenia sąsiada lub naganiacza. Pewne szanse, większe od innych może mieć tylko strzelec oznaczony na naszym szkicu numerem 3, ten bowiem, gdy się wysunie naprzód i gdy natrafi na wypłoszone w bliskości kuropatwy, będzie miał zawsze najlepsze strzały. Nie pozwolą się jednak wysunąć jemu myśliwi (Nr 2 i 4) i przywołają go do porządku przypomnieniem, że ideałem tego rodzaju polowań jest przedewszystkiem utrzymanie prostej linji. Bardzo uważnie muszą postępować strzelcy, znajdujący się na rogach, oraz strzelcy skrzydłowi. Nigdy nie powinni obrać pozycji pionowej względem siebie, lepiej bowiem przepuścić jedno i drugie stado, aniżeli zagrozić życiu sąsiada. Psy powinny szukać, idąc przed swoimi panami, lub też obok nich, nie wolno im jednak zbytecznie się oddalać naprzód. Jeżeli pies przystanął, to wolno najbliższemu strzelcowi lekko się odchylić od linji w kierunku tego psa, z chwilą jednak, gdy padł pierwszy strzał, muszą myśliwi powrócić do dawnego kierunku, przywołując również naganiaczy do porządku. Zazwyczaj tak bywa, że kury, których psy nie zdołały wytropić, podrywają się wskutek nadejścia naganiaczy, a wtedy polowanie

takie ma więcej jeszcze uroku, gdy nagle, niemal z pod nóg naszych zrywa się wielkie stado. Nerwowi strzelcy zazwyczaj się furkotem powstałym przestraszają, a wtedy rezultat jest więcej niż wątpliwy.

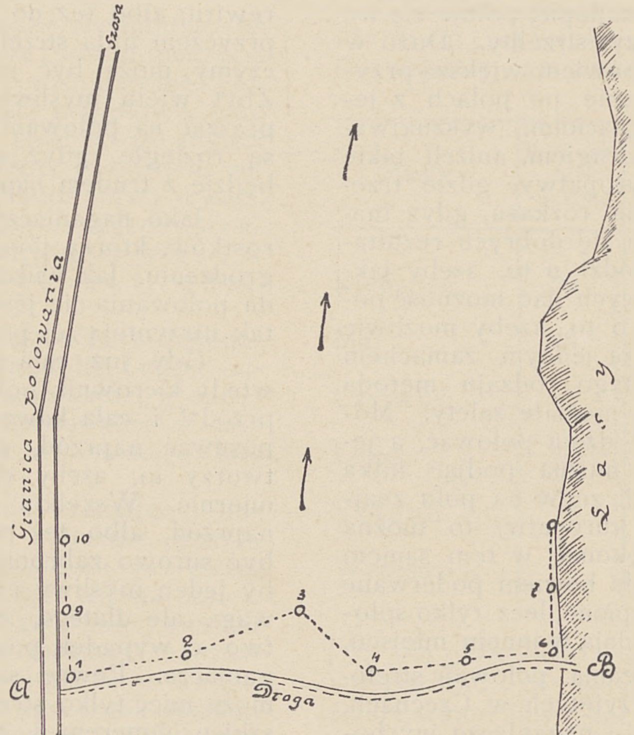
Przy niesprzyjającym wietrze, albo też w wypadkach, gdy kury były już częściej odstrzeliwane, zrywają się one na dość znacznej odległości. Wtedy należy dobrze wytrzymać i brać śrut grubszy. Jeżeli dzień jest bardzo gorący, albo też gdy kuropatwy zostały rozbite, wtedy łatwo może się zdarzyć, że strzelcy przechodzą obok; bywa to również, gdy myśliwi i naganiacze zanadto są od siebie oddaleni. Zwykle naganiacz od naganiacza powinien się znajdować o 8—10 kroków.

Jeżeli kury zostały podstrzelone, albo jeżeli zapadły tak niekorzystnie, iż naganiacze nie mogą ich odszukać, to zazwyczaj najbliższy myśliwy, który posiada psa, biegnie w tę stronę. Poszukiwań jednak nie należy czynić długo, cała bowiem linja odrazu traci ład i wtedy kierownik polowania powinien odrazu dać sygnał: „Stój“! Naganiaczom nie wolno również zatrzymywać się w tyle, gdyż często kury kierują się poza myśliwych i wtedy strzał jest trudny. W podobny sposób, jak na kuropatwy, urządza się w Czechach polowanie na zające, ta jednak zachodzi różnica, że poza linją strzałów, posuwają się specjalni dozorcy z psami, obowiązkiem których jest trzymać się w pewnem oddaleniu i puszczać psy na postrzeloną zwierzynę. Czy taka opieka dozorców z psami byłaby korzystna przy polowaniach na kuropatwy, trzebaby dopiero spróbować, można jednak przypuszczać, że na małych polowaniach stanowczoby się nie opłaciła.

Główne zadanie kierownika polega na tem, ażeby linję strzelecką utrzymał w najlepszym porządku i prowadził ją wolno i równomiernie naprzód. Każdy błąd musi w tej chwili naprawiać i osobiście wykraczających przywoływać do porządku. Ubite kuropatwy podnoszą naganiacze i niosą je dalej.

Co do wystrzeliwania starych kur, to najlepiej tu będzie zastosować słowa starego i doświadczonego pisarza Diezela, który tak orzeka w swoich „Wskazówkach z dziedziny polowania“:

„Rzeczą jest bardzo niebezpieczną podejmować polowanie na kuropatwy na samym początku sezonu z dwoma, albo trzema obcymi strzelcami. Jeżeli długi rząd amatorów myśliwstwa ciągnie przez pola i jeżeli licho wytresowane psy biegają na około, to czyż można spodziewać się dobrych rezultatów? Każdy chce pierwszy wystrzelić, każdy jak opętaniec leci naprzód, gdy tylko zobaczy, że pies robi minę, jak gdyby chciał przystanąć“.

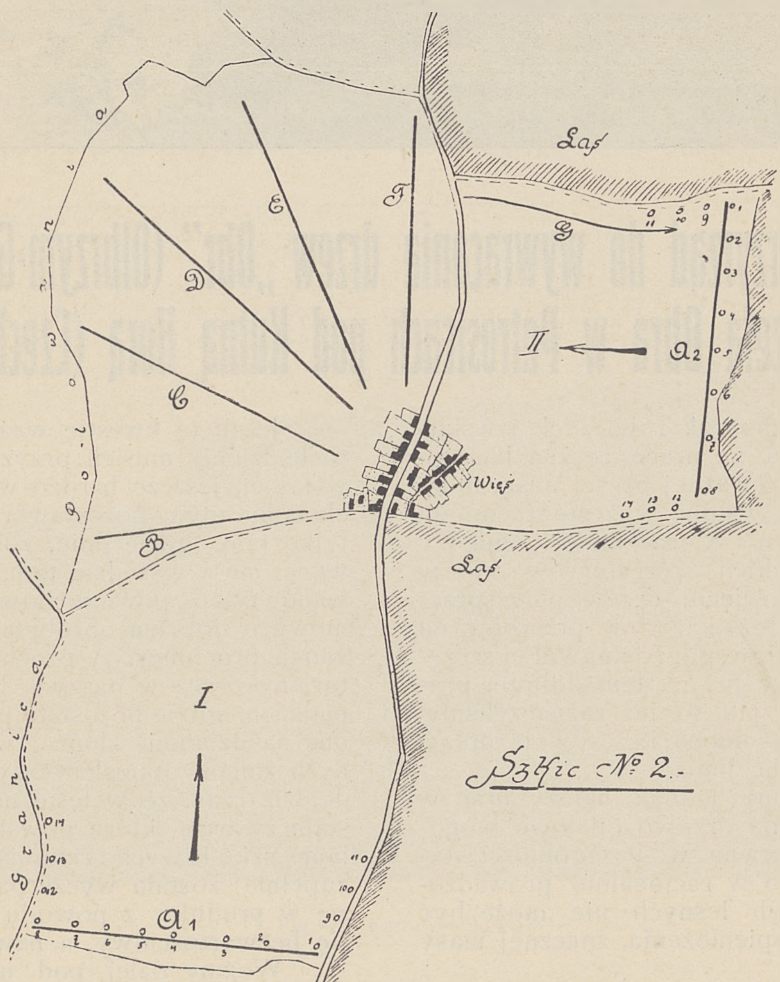


Szkic Nr 1.

Chcąc bezstronnie ocenić polowania strefowe, nie można zataić, że tutaj aż nadto często nadarza się sposobność wystrzeliwania starych kur, i że szczególniej niedoświadczeni myśliwi, ze zbyt wielkim temperamentem wielkie wyrządzają krzywdy. Z drugiej jednak strony, przyznajmy to z ręką na sercu, że przecież myśliwy, udający się w pojedynkę na polowanie, bardzo często grzeszy pod tym względem. Jeżeli też zaprosimy na polowanie strefowe ludzi spokojnych, doświadczonych, którym nie zależy tylko na czczej pukaninie, to i podług tej metody można bardzo prawidłowo wywiązać się z zadania. A zresztą, gdy kierownik jest energiczny, żaden świszczypałka nie może się wysuwać nadmiernie naprzód. Jak już bowiem wspominaliśmy poprzednio, co najwyżej myśliwi, znajdujący się w pobliżu, mogą podążyć w kierunku psa, który przystanął, inni zaś strzelcy nie troszcząc się o to idą w porządku, zatrzymują się dopiero wtedy, gdy to intermezzo trwa trochę zadługo. Takiego wyłamującego się myśliwego dobry kierownik odrazu spostrzeże i dając sygnał „stój“! powstrzyma dalszy pochód całej linji. Wogóle od energji kierownika zależy całe powodzenie i cała sprawność polowania.

Niektórzy, początkujący jeszcze myśliwi, wyrażają się z przekąsem o polowaniu strefowem i utrzymują, że jest ono monotonne. Tak nie jest, właśnie przeciwnie, myśliwi mają tutaj dużo ruchu, a cały aparat przedstawia się skomplikowanie, co widać ze szkicu naszego Nr 2. Mamy tutaj miejscowość po-

łożoną prawie w samym środku całego terenu, przeznaczonego na polowanie; na około rozciąga się las i cudze pola. Pierwsze ustawianie się strzelców (A. I), idzie w kierunku od południa do północy, i w kierunku strzałki posuwa się linja strzelców. W miejscu B. zamyka się nieco ta linia i strzelcy oraz naganiacze skupiają się więcej. W punkcie C linja znów się rozchodzi, ażeby zaraz następnie podjąć zwrot, którego wykonanie pokazują linje D. i E., a który kończy się przy F. Ażeby w tych warunkach w drugiem polu nie pędzić kur ku lasowi, strzelcy i naganiacze przy F. idą „gęsiego“, co nie jest wprawdzie bardzo piękne, ale praktyczne. Po tej drodze posuwają się ku G. i następnie w kierunku strzałki ku wschodniej granicy pola. Tam dopiero ustawiają się myśliwi prawidłowo, jak to wskazuje A. II. Teraz linja strzelców posuwa się znów ku zachodowi, a podrywające się kuropatwy pędzone są ku pierwszemu polu, o ile naturalnie już nie uciekły do lasu.



Tym sposobem cały teren łowiecki opanowany został przez umiejętne poprowadzenie strzelców przez kierownika, który zawsze musi uwzględniać wszelkie warunki. Przy sprzyjającym wietrze mógłby np. ustawić strzelców przy A. II, a następnie całe pole okrążać aż do A. I. Tego zrobić nie może ze względu na to, że A. I tworzy granicę, a pędząc w tym kierunku kury, napędzałby je często nieprzyjaźnie usposobionemu sąsiadowi.

Z polowaniami strefowemi nie należy mieszać polowań z naganką na kuropatwy, co w swoim czasie zaprowadził na Węgrzech słynny filantrop żydowski br. Hirsch. Udział w polowaniach tych brali wyłącznie przedstawiciele arystokracji, a br. Hirsch kazał poprzednio kuropatwy w różnych rewirach wyłapywać i przewozić je w koszach do St. Johann. Naganka odbywała się w ten sposób, że kury pędzono odrazu w górę ponad drzewa od 26—25 m. wysokości. Poza temi drzewami byli ustawieni myśliwi po 6-ciu do 12-tu, który teraz oczywiście mogli się popisywać swoją „wprawą“ w strzelaniu. Prawdziwych myśliwych taka zabawa nie mogła zadowolić *).

Kiedy zmarły przed kilku laty król angielski Edward, jak zwykle corocznie, przybył do lasów czeskich na kurację, na cześć takiego dostojnego gościa urządził hrabia Trauttmannsdorf w dobrach Bischofteinitz polowanie z naganką na kuropatwy. Urządzenie tego polowania było nadzwyczaj zręczne, a kierownictwo nadzwyczaj przezorne, rezultaty więc okazały się świetne. Jeden nadleśny, który widział czynione przygotowania, objaśniał nas, że pociągnęło to polowanie kolosalne koszta. Nie każdy, nawet bardzo zamożny człowiek może sobie na takie zbytki pozwolić i dlatego o polowaniach z naganką na kuropatwy wspomnieliśmy tutaj tylko mimochodem.

Kto jednak nie zna dotąd polowań strefowych, ten może, stosując się do naszych wskazówek, spróbuje tego rodzaju rozrywki, a spróbowawszy, przyzna z pewnością, że ta metoda ma również swój urok, chociaż przyznajemy, że tropienie w polu we dwójkę, lub trójkę jest jeszcze przyjemniejsze. W każdym razie polowań strefowych nie można bezwzględnie potępiać, gdyż i tutaj prawdziwy myśliwy nie sprzeniewierzy się prawidłom.

Bostrychus.

---

*) Jednym z najlepszych strzelców w lot owego czasu był lord Gray, który jednego dnia ubił u bar. Hirscha 600 kuropatw. Jak z tego łatwo wywnioskować, ta prawdziwie żydowska zabawka była de facto mordem masowym i jeżeli dziś urządzane jeszcze bywają polowania z naganką na kuropatwy, to już nie kładzie się nacisku na okazanie takiej „wprawy“. (*Przyp. aut.*).



Karczownik i przyrząd do wywracania drzew „Obr" (Olbrzym-Goliat) Leśniczego Józefa Obra w Petrosicach pod Kutną Horą (Czechy).

Wskutek ubytku rąk roboczych i wskutek podrożenia cen na prace ręczną karczowanie drzew w przeważnej części naszych lasów stało się pracą trudną, a często zadaniem wprost niemożliwem. Coraz mniej pomiędzy leśnikami bywa takich szczęśliwców, którzy mogą pozostałe po ścięciu drzew pnie sprzedać dobrze, albo też kazać je przerobić na zapasy drzewa opałowego. Ale nawet ci szczęśliwcy nie wychodzą już na tem dobrze, praca ludzka bowiem, jak to już zaznaczyliśmy, coraz więcej bywa ceniona i często nie opłaci się nawet wydobycie pnia.

Z drugiej strony jednak należy brać w rachunek, że cena na drzewo opałowe wogóle, a na węgiel drzewny w szczególności stale wzrasta i dlatego w racjonalnie prowadzonych gospodarstwach leśnych nie może być obojętną kwestja spieniężenia znacznej masy drzewnej.

Poza tym względem natury finansowej należy jeden punkt jeszcze rozważyć dokładnie. We wszystkich dziedzinach wytwórczości ludzkość dąży szybkiemi krokami naprzód.

Przypatrzmy się naszym najbliższym sąsiadom, jakimi są pracownicy na roli, a spostrzeżemy wtedy, że coraz dokladniej i coraz głębiej obrabiają oni ziemię, nie lękając się żadnych kosztów, wiedzą bowiem doskonale, że im więcej włożą w glebę, tem więcej ona im przyniesie korzyści. Obrobienie dokładne ziemi leśnej tak samo nie powinno nam być obojętne, jak również nie powinniśmy się już przyglądać obojętnie, gdy np. na przeznaczonych dla kultur porębach pozostały nie wykarczowane pnie, przyczyniające się do rozprzestrzenienia szkodników, zarówno owadów, jak grzybów. Jakże wtedy wygląda nasza próchnica, którą przez 100 albo i więcej lat gromadził las, ażeby ziemię użyźnić dla następnych pokoleń!

Jeżeli tę kwestję weźmiemy pod uwagę, to będziemy musieli przyznać, że gospodarka w lasach jeszcze bardzo wiele pod względem ekonomicznym pozostawia do życzenia. Nietylko tam, gdzie pnie, zostały nie wykarczowane, ale i wszędzie tam, gdzie je wykarczowano tylko powierzchownie, nie może być mowy o dobrem obrobieniu ziemi i spożytkowaniu próchnicy. A próchnica to przecież naturalny oracz w naszych lasach. W tych wypadkach, gdzie pozostały pnie wystawiona jest ona na działanie słońca, wiatru i wogóle różnych zmian atmosferycznych, zanim tedy nadejdzie czas, że w lesie nowo założonym nastąpi zwarcie, które powstrzyma dalsze działanie szkodliwych czynników, próchnica już zupełnie została wyczerpana i przekształcila się w produkt, z powodu swego rozkładania się bezwartościowy, a nawet szkodliwy.

Weźmy dalej pod uwagę tę próchnicę w naturalnych odmłodzeniach, która nawet przeszkadza zupełnemu rozwojowi drzew, to wtedy zobaczymy, że zachodzi potrzeba zmieszania jej z częściami mineralnemi ziemi.

W jaki więc sposób można dojść do poprawy gleby?

Przedewszystkiem potrzeba zwrócić uwagę na wszelkie istniejące już obecnie narzędzia do karczowania.

Myśl o tem, że potrzebna tu jest nadzwyczajna siła do wyrwania z ziemi wielkich pni różnych gatunków drzew, że przytem trzeba uwzględnić najrozmaitsze siedliska i tereny, utrudniala zawsze dotąd skonstruowanie najlepiej odpowiadającego celowi przyrządu. Wyobraźmy sobie tylko te przyrządy, jakie dziś istnieją, przy prawdziwej robocie.

Czyż to jest rzeczą możliwą, ażeby aparat, którego konstrukcja odpowiadać musi sile, dochodzącej do kilkunastu set, a któryby

mógł lekko, a nawet, jak to zapowiadają prospekty „śpiewająco“ przenoszony być od jednego pnia do drugiego?

Czyż jest rzeczą możliwą ustawić przyrząd w kształcie trójnoga, albo nawet czworonoga ponad pniami w stromem zboczu, albo też w bagnistym, wskutek dłuższych deszczów rozmiękłym gruncie? W jaki sposób można zapomocą tego rodzaju przyrządu wyrywać zupełnie wielkie pnie z ziemi, jeżeli ich korzenie, prosto idące w ziemię, posiadają przeszło pół metra długości? Jakąż wtedy wysokość musiałby mieć ten trójnóg i jaką powinnaby być jego waga? Czy można wtedy pnie wyrywać z ziemi szybko i tanio?

Wszystko to trzeba rozważyć doskonale, podciągając pod uwagę inne jeszcze czynniki, udeptywać grunt w jednem i tem samem miejsu?

A czy to łatwo dzisiaj, i czy tanio wypada wynajęcie koni albo wołów na kilkanaście dni w takiej porze roku, która najlepiej nadaje się do karczowania?

Z tego, cośmy tutaj przytoczyli, wynika, że przy każdem konstruowaniu nowego karczownika występują coraz nowe i coraz więcej wątpliwości budzące przeszkody.

Chyba niema potrzeby rozwodzić się tutaj bliżej nad materjałami wybuchowemi, które bywają również używane do karczowania.

W naszej gospodarce leśnej prowadzimy wązkie, długie poręby z przerwami kilkoletniemi. Wzdluż poręby, gdzie pnie mają być wykarczowane, znajdują się rokujące pięk-



Fig. 1. Karczownik „Obr“.

gdy się przystępuje do skonstruowania przyrządu najbardziej odpowiadającego celowi.

Przyjrzyjmy się dalej przyrządom, zbudowanym w celu zużycia siły zwierzęcej w tym samym stopniu, jak to się dzieje przy zwykłych konnych młocarniach. Główna przeszkoda rzuca się nam odrazu w oczy. Te pnie, które się znajdują w promieniu około 16 metrów od aparatu, muszą być najpierw wykarczowane ręcznie, ziemia zaś wyrównana.

Jak można pracować takim przyrządem w porębach o spadzistym gruncie, gdzie ani na samem miejscu, ani też w pobliżu niema odpowiedniego punktu na równinie do ustawienia aparatu? Wyobraźmy sobie dalej robotę tego rodzaju po dłuższych deszczach, gdy właściwie pnie wówczas najłatwiej mogą być wyrywane. Jak będzie wyglądał grunt około przyrządu, jeżeli zwierzęta, ciężko pracując przez kilka dni z rzędu, będą musiały ną przyszłość kultury, w samej zaś porębie stoją drzewa nasienne, albo też pozostawione podszycie; po drugiej stronie jest ładny drzewostan młodszej klasy drzew.

Czy w tym wypadku możemy użyć środków wybuchowych, nie wyrządzając szkód otoczeniu? Czy każdy strzał nam się powiedzie, a powieść się powinien ze względu na to, że materjały wybuchowe są drogie?

Tylko doskonałe narzędzie do karczowania może te wszystkie wątpliwości rozwiać, a taki przyrząd nie powinien w sobie mieścić żadnego z wyżej opisanych błędów.

Czy wszystkim zaletom, jakie aparat taki posiadać winien, odpowiada zbudowany przez leśniczego Józefa Obra karczownik, trudno orzec, dochodzą nas jednak o nim tak pochlebne głosy, że pragniemy tutaj zwrócić uwagę na ten czeski wynalazek. Jeden z najpierwszorzędniejszych leśników czeskich, Eu-

geniusz Pietschman, takie o karczowniku, Józefa Obra składa świadectwo w czasopiśmie „Háj":

Zaprosił mnie do siebie przyjaciel mój Józef Obr, wynalazca karczownika z Petrosic pod Kutną Horą, ażeby mnie przekonać o działaniu aparatu, którego pierwszy egzemplarz już nabyty został przez miasto królewskie Kutną Horę dla posługiwania się nim w obszernych lasach miejskich. Na próbę przeznaczono porębę w rewirze Petrowickim, która to poręba posiada 2 hektary wielkości, przychód zaś drzewa wynosił tutaj 600 m³ na hektar. Ścięty drzewostan miał lat 115, a składał się ze świerków, jodeł i sosen. Grunt tutaj jest ciężko gliniasty, miejscami skalisty, ukorzenienie drzew nadzwyczajne, wyrwane pnie dochodziły do 1 m. w średnicy cięcia, a korzeń mateczny miał długość 2 — 3 m. i szedł prostopadle w ziemię. Takie okazy nie należały tu wcale do rzadkości. Z wszystkiem tem aparat Obra załatwiał się znakomicie.



Fig. 3. Przyrząd do łupania pni.

Karczownik Obra składa się z trzech części głównych, a mianowicie:

1. Podstawa.
2. Przyrząd właściwy.
3. Przyrząd do skracania.

To, że aparat rozkłada się na trzy samodzielne części, umożliwia łatwe ustawienie go na każdym terenie. Przy aparacie pracuje tylko dwóch ludzi, którzy codziennie wydobywają od 23 — 28 pni o grubości 40 — 120 cm. w średnicy powierzchni cięcia.

Podstawa ma dwa ramiona, jedno żelazne, drugie drewniane, pierwsze zaś z nich zaopatrzone jest w dwa ramiona obrotowe, które dwóch ludzi obraca, wytwarzając tym sposobem bardzo poważną siłę. Ta siła przechodzi zapomocą prętu na wałek, znajdujący się na długiem ramieniu głównego ramienia żelaznego. Ramię żelazne spoczywa na osi, umieszczonej na żelaznej podstawie aparatu głównego i krótszym końcem swoim wchodzi w uzębienie płyty, albo też drabinki, obracającej się swobodnie ku górze i ku dołowi. Ta drabinka w dolnym końcu połączona jest z liną do rwania.

Z chwilą, gdy lewar zapomocą podstawy i wałka ciągniony jest ku dołowi, drabina porusza się zwolna ku górze. Przy zupełnem ściągnięciu ramienia lewaru na dół padają zazębienia drabiny w hak, przymocowany do aparatu i w ten sposób przytrzymują mocno podciągniętą w górę drabinę w tej pozycji. Teraz jeden z robotników wyciąga z żelaznego ramienia u podstawy ramię obrotowe i nakłada je na czterokątną oś ramienia drewnianego i zaczyna go obracać. Przy tej czynności nawija się na niego łańcuch, który idzie po rolce umieszczonej ponad wysokim czworonogiem. Rolka ta przymocowana jest drugim końcem na ramieniu lewara i podnosi go w górę do poprzedniej pozycji. Krótki koniec lewaru, który chwyta drabinkę, wysuwa się przy tej robocie i automatycznie chwyta nowe zazębienie, położone niżej. W ten sposób powtarza się cały proces. Drabina stalowa unosi się ciągle w góre i ciągnie za sobą linę, która idzie po rolce nad podstawą aparatu. Tutaj zmienia kierunek z pionowego na poziomy.



Fig. 2. Wyrywane pnie.

Sama lina połączona jest za pomocą haka z pniem, ponieważ jednak każdy pień rozmaicie bywa oddalony od aparatu, przeto lina jest tak urządzona, że może być skrócona, albo też stosownie do potrzeby przedłużona. Do tego celu służy specjalny aparat do skracania, składający się z bębna, na który nawija się lina stalowa, przeznaczona do rwania. Bęben obracany jest zapomocą ramion, dzięki czemu może dwóch robotników dokonać zupełnego napięcia liny pomiędzy aparatem a pniem. Wówczas aparat wykonywa tylko

właściwe wyrwanie pnia. Ażeby bęben przy ciągnieniu liny mógł się obrócić w tył i ażeby nawinięta lina się nie odwinęła, przytrzymywany on bywa dwoma hakami.

Z chwilą, gdy drabina przy tej robocie dojdzie do samej góry, z tą chwilą jest już pień wyrwany i wtedy drabinę opuszcza się zapomocą przytwierdzonego ramienia lekko ku dołowi. Hak z wyrwanego pnia przenosimy na inny pień i wyrywamy w dalszym ciągu.

W mojej obecności przy tej robocie zajętych było 5-ciu ludzi, a mianowicie:

a. Wyrywanie pni prowadziło dwóch robotników otrzymujących dziennie po 2,40 k. = 4,80

b. Przygotowanie pni do karczowania (odkopanie górnej warstwy ziemi i t. p.) zajmowało dalszych dwóch robotników z płacą po 1,80 k. = 3,60

c. Oczyszczanie korzeni i wyrwanych pni z gliny, narzucenie na glinę próchnicy i wyrównanie powstałych dołów: 1 robotnik 1,80 k. = 1.80

Razem koron 10,20

Przeciętnie wyrywano dziennie 25 pni o średnicy 40 — 120 cm. na powierzchni cięcia, wykarczowanie przeto jednego pnia, łącznie z mieszaniną gliny z próchnicą oraz z wyrównaniem dołów, kosztowało 40 halerzy (16 kopiejek).

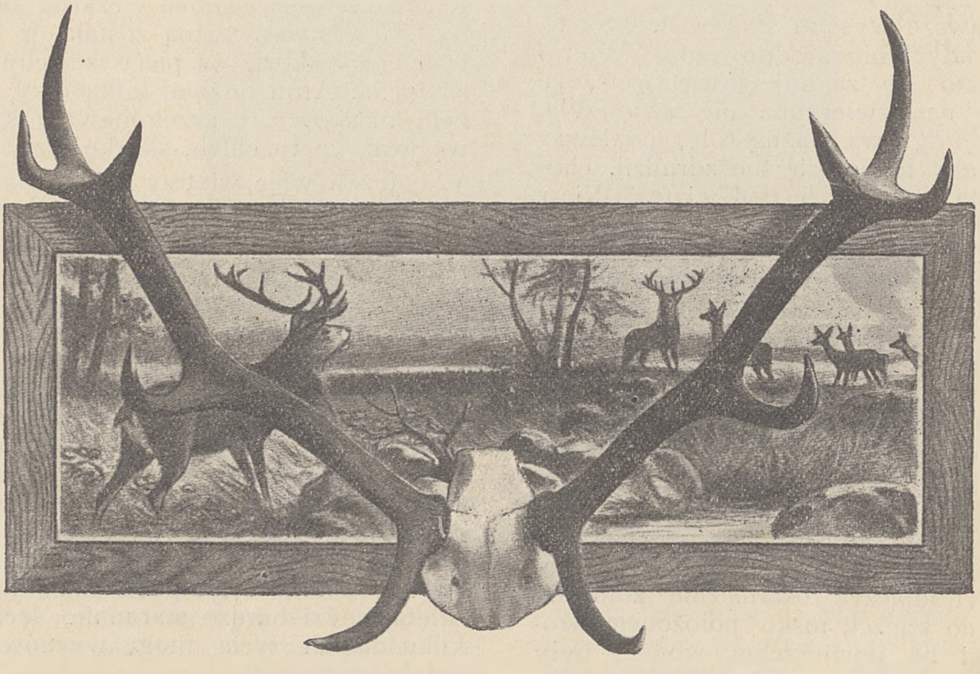
Konstrukcja tego aparatu jest tak gruntowna, a przytem tak prosta, że zużycia się karczownika, jak się sam przekonałem, nie można było zupełnie zmiarkować.

Wyrwane zapomocą karczownika Obra pnie są w Kutnej Horze gromadzone i sprzedawane drogą publicznej licytacji, a popyt na nie rośnie w okolicy ustawicznie. Dawniej nikt zupełnie nie chciał nabywać pni niewykarczowanych. Sądzę, że tak samo dzieje się w innych okolicach i że na pnie nie wykarczowane trudno wogóle znaleźć amatorów. Tymczasem na wykarczowane pnie zawsze znajdą się kupcy, a przybędą oni nawet z dalszych okolic, nic bowiem łatwiejszego, jak pnie naładować na wóz i przewieźć do domu.

Ale pień sam przez się jest ciężki, więc i o tem pomyślał leśniczy Józef Obr z Petrosic i wynalazł oddzielny aparat, przeznaczony do łupania pni. Aparat ten jest tak skonstruowany, że w przeciągu 5—6 minut można najgrubszy pień rozłupać na dwie części".

Pochlebną opinję o karczowniku Obra kończy nadleśny Pietschman temi słowy:

„Wynalezienie opisanego tutaj przyrządu do wyrywania pni oznacza ogromny postęp w naszym zawodzie leśnym".



Czy kaczki wietrzą?

Przyrodnicy tego pokroju, co Brehm i dr Zell, piszą, że ptaki węchu nie mają. Jeżeli to piszą takie powagi, nikt nie śmie powątpiewać o prawdziwości ich twierdzeń. Może być, że właśnie twierdzenie tych uczonych przyczyniło się w większej mierze do powszechnego wśród myśliwych przekonania, że kaczki nie wietrzą. Wszakże bez pewnych zastrzeżeń nikt temu nie wierzył i kilkakrotnie zdarzało się, że rzecz zakwestjonowano, ale nikt dowodów ad oculos węchu kaczego nie dostarczył.

W czasopiśmie czeskiem „Lovecki Obzor“ (Przegląd łowiecki) zabiera głos w tej chwilowo aktualnej sprawie—myśliwy czeski, którego poglądy streszczamy.

Czytałem szereg artykułów w tej sprawie—opowiada — i zastanawiało mnie, z jaką powierzchownością wiodą się często polemiki. A przecież to sprawa dla łowców dość ważna, nie należałoby więc jej zbywać pobieżnie, lub przytaczać dowody takie, które dowodami nie są. Komuś powiodło się zbliżyć z wiatrem do kaczek pływających na wodzie i zastrzelić kilka. Taki szczęśliwiec więc stanowczo twierdzić będzie, że kaczki nie wietrzą. Ma dowód, że jego nie zwietrzyły. Na to, co inni mówią, że im nigdy nie powiodło się podejść kaczek, odpowie, że nie umieli zachować ostrożności należytej, ponieważ kaczki mają słuch wyborny.

A przecież jest to dowód wcale niewystarczający. Zastanówmy się bliżej. Czemu urządzamy zawsze wysoko stanowiska? Na to otrzymamy natychmiast odpowiedź. Wie o tem każdy, kto się zajmuje łowiectwem, że dlatego, aby nas zwierzyna nie zwietrzyła. Wysokość tu odgrywa ważną rolę, ponieważ chodzi o to, aby łowiec się nie zdradził, chociaż zwierzyna przychodzi pod wiatr. Wiatr z łowca będącego na wysokiem stanowisku ciągnie górą, a nie w nozdrza zwierzyny. Wysoko stojącego łowca zwierzyna nie może zwietrzyć, chyba ze znacznej odległości, gdy w oddaleniu pewien prąd powietrza mógłby się pod naciskiem wiatru z góry zniżyć. Ale musiałby to być wypadek nadzwyczajny, aby zwierzyna znajdowała się w tem właśnie miejscu. A jakże dzieje się z kaczkami? Jeżeli łowiec potrafi się do nich zbliżyć, to widocznie, że kaczki pływające na wodzie nisko nie mogły pochwycić prądu powietrza ostrzegającego je przed zbliżającym się myśliwym. Można więc wytłomaczyć ostatecznie zbliżenie się strzelca do kaczek nisko położonemi wodami. Kaczki na powierzchni wodnej były znacznie niżej, aniżeli strzelec, dlatego zwietrzyć go nie mogły. Zdarzającym się wypadkom podejścia kaczek nie należy przypisywać więc znaczniejszego znaczenia, ani też wierzyć bezkrytycznie temu, co powiedzieli dwaj uczeni.

Gdyby ten, co bacznie przeczytał całego Brehma, zastanowił się nad sprawą bliżej, spostrzegłby, że Brehm sam sobie przeczy. Pisze on, że sęp pożerający ścierwo wyśledzi padlinę. Jakim sposobem mogłoby to dziać się, gdyby ptak ten nie miał węchu? Brehm, aby pozostać wiernym swemu twierdzeniu, że ptaki węchu nie mają, powiada wprawdzie, że sęp padlinę dojrzy, ponieważ znajduje on i taką, która jeszcze nie cuchnie. Wzrok odgrywa u sępa rolę decydującą. To możliwe jest tylko na pustyni Saharze, ale zapewneby tego sęp nie dokonał w kraju lesistym i skalistym. W sprawie tej pisze także Zantier, który był w Ameryce farmerem. Twierdzi on, że ptaki mają węch. Kupił on razu pewnego odpadki z jatek i wymierzwił niemi pole. Tutaj więc sępy nie mogły padliny dojrzeć, a przecież po kilku dniach jeszcze krążyły nad polem, wietrząc padlinę. Powtóre zabił dwa lisy i wsunął je do gniazda termitów. I tutaj nie mogły ich sępy dostrzedz żadną miarą, a jednakowoż poczuly padlinę. Jeżeli w dobie parzenia się sawców poznaje się zwierzyna po zapachu, to prawdopodobnie dzieje się to samo z ptakami, bo jakże mógłby ptak samiec wyszukać w lesie samicę? Wabienie głosem tutaj nie wystarczałoby, gdy jedno od drugiego oddalone jest nieraz o pół godziny drogi.

Autor czeski podaje na dowód, że ptaki węszą, jeszcze następujący przypadek z gęsią. Rzucił raz gęsi spaloną i czarną skórkę chleba. Gęś barwą czarną została w błąd wprowadzona i skórki w pierwszej chwili nie pochwyciła. Atoli później kilka razy głowę zbliżyła ku skórce i przekonawszy się zapewne węchem, że to chleb, skórkę wzięła.

Jeżeli więc wietrzy gęś — konkluduje autor czeski—wietrzy także dzika kaczka.

1. Przy tej sposobności wymieniamy gatunki kaczek dzikich, jakie u nas żyją. Krzyżówka, szarka, burka wielkooka jest u nas najpospolitsza z dzikich kaczek. U samca cztery środkowe sterówki są do góry zakręcone, głowa zielona, ze świetnym połyskiem. Przylatuje w marcu. Samica obiera sobie miejsce nad wodami, na łąkach lub w krzakach i buduje gniazdo z gałązek i zdziebeł słomy i wyściela własnym puchem z piersi i z pod brzucha. Zniesione jaja wysiaduje przez trzy tygodnie. Gdy opuszcza gniazdo dla żeru, przykrywa starannie jaja puchem. Wylęgnięte pisklęta wodzi bardzo starannie, lecz te już po kilku dniach życia mogą wychować się bez opieki matczynej.

2. Cyranka, nieco mniejsza od poprzedzającej, ma pokrywy skrzydłowe błękitno po-

pielate, u karku nad okiem znajduje się biała brew. Do nas przylatuje z początkiem wiosny i odlatuje w październiku. Nie zimuje nigdy.

3. Cyraneczka podobna do poprzedzającej, wyróżnia się od niej dwukolorowem lusterkiem i białą rdzawą smugą z przodu, na tyle głowy kaczor ma szafirową, jakby grzywkę, za okiem zielony połyskujący pas. Przybywa wcześniej i bawi dłużej aniżeli cyranka.

4. Różeniec jest nieco mniejszy od krzyżówki, popielato szary, u kaczora środkowe sterówki wąskie i wydłużone lusterko z przodu pomarańczowo-kasztanowate, z tyłu białe. Szyję ma bardzo długą, budowę ciała wysmukłą.

5. Krakwa, czyli gruchotka, jedyna z kaczek mająca białe lusterko.

6. Płaskonos, czyli kursuń ma lusterko zielone z białą smugą z przodu, niekiedy i z tyłu.

7. U swistuna, u kaczora lusterko z przodu zielone, z tyłu czarne,

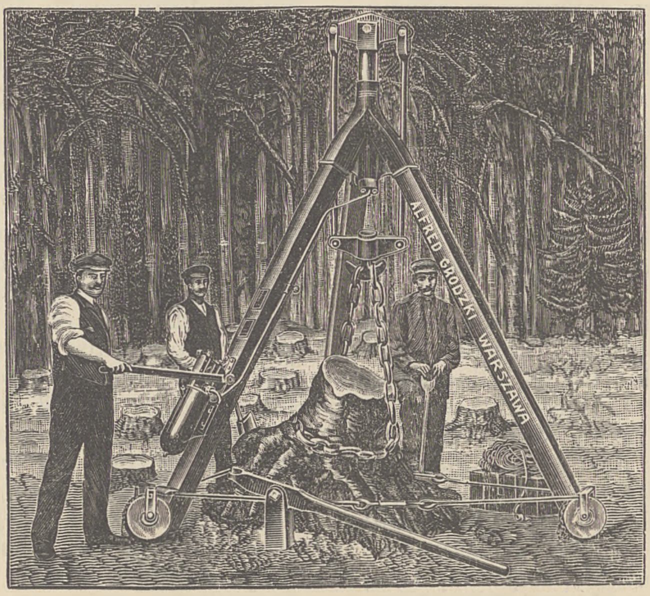
8. Ohar różni się od innych zadartym do gory dziobem, upierzenie ma białe z kasztanowatą obrożą na piersiach, lusterko zielone, połyskujące. Do nas rzadko zalatuje.

Oddzielną rodzinę w rodzie kaczek stanowią grążyce, które nogi mają zupełnie zadowe. Do nas zalatują z północy bardzo rzadko, do nich należą: podgorzalka, rdzawo-głowa i białooka, dalej czernica, ogorzałka, helmiasta, uhla czyli głowienka, czarna, gęgoł, u nas dość częsty, lodówka. Z krzyżówki, jak wiadomo, powstała kaczka domowa.

Próby z karczownikami.

Dnia 21 czerwca r. b. odbył się na porębie w Kabatach, w dobrach Wilanowskich hr. Branickiego, pokaz karczowników, zorganizowany dla słuchaczy kursów tygodniowych leśnych.

W obecności licznie zgromadzonych słuchaczy z prezesem Wydziału Leśnego, Zygmuntem hr. Broel-Platerem na czele, oraz szeregu rolników, Syndykat Rolniczy Warszawski i firma Alfred Grodzki demonstrowały reprezentowane przez siebie maszyny.



Wydział Leśny zademonstrował maszynę do karczowania pni, zwaną „Leśny Szatan“. Maszyna ta, systemu linowego, przy użyciu dwóch koni oraz zastosowaniu jednego bloka, mniejszy pień wyciągnęła normalnie, większy pień jednak oparł się maszynie.

Maszyna Stendela, reprezentowana przez Syndykat Rolniczy Warszawski, bardzo dobrze przewracała nieścięte drzewa. Przychodziło jej to z łatwością i drzewa wysoko ujęte liną, padały w zawczasu obranym kierunku. Dodatnie rezultaty pracy tą maszyną uwidoczniały się również przy rwaniu pni wysoko ściętych, przy rwaniu natomiast nizko ściętych pni, konie miały do pokonania opór, przewyższający ich siły. Obsługa maszyny składała się z 3 ludzi i pary koni.

Jako ogólny zarzut postawiono tym maszynom wydobywanie zbyt wielkiej ilości martwicy na powierzchnię i tworzenie nieforemnych dołów w lesie.

Ogólne zainteresowanie i podziw wzbudziła trzecia maszyna „Australia“, polskiego pomysłu d-ra K. Malsburga, prof. Akademii Rolniczej w Dublanach i polskiego wykonania Sanockiej fabryki wagonów i maszyn.

Zbudowana na odmiennej zasadzie, maszyna ta, wyzyskując siłę hydrauliczną, nie wymaga żadnych bloków i lin. Pnie wyciąga zupełnie pionowo, nie wywlekając martwicy, do obsługi wymaga 3 — 4 ludzi bez potrzeby użycia koni, i rozwija siłę zaiste tytaniczną, gdyż jest zdolna podnieść do 40 tysięcy kilogramów, t. j. ciężar ładunku około 3 wagonów.

Konstrukcja maszyny jest najzupełniej prosta, dzięki czemu obsługa jej jest nader łatwa, nie posiada ona części, podlegających zepsuciu, całe zaś ustawienie i manipulacja nią są bez porównania mniej skomplikowane, niż w maszynach z pociągiem linowym, wymagającym każdorazowo innej kombinacji blo-

ków i celowego ich rozmieszczenia. To też, gdy w obecności zebranych po wyciągnięciu 18-calowego pnia, w przeciągu 13 minut przewieziono maszynę na nowe miejsce i wyciągnięto olbrzymi 27-calowej średnicy pień, zebrani jednogłośnie stwierdzili, że ta polskiego wynalazku maszyna rzeczywiście stoi na wysokości swego zadania.

Fachowe wyjaśnienia specjalisty uzupełnione przemówieniem p. Makarewicza, nadleśnego lasów Wawerskich, który miał pod swoją obserwacją przez czas dłuższy powyższą maszynę, pozwalają przypuszczać, że dodatnie wrażenie, jakie wywarła jej praca, nie było przypadkowem, a każe bezwarunkowo podkreślić, że tylko zasada wyciągania pnia pionowo w górę, przyjęta w tym karczowniku, zapewnia dokładne oczyszczenie ziemi nawet z najdrobniejszych korzeni, a więc daje najwięcej masy drzewnej, nie zostawiając nie zasypanych dołów i nie wydostając martwicy na powierzchnię.

W zakończeniu należy podkreślić obywatelską uczynność Zarządu Dóbr Wilanowskich hr. Branickiego, z jaką dostarczono terenu, jak również potrzebnych ludzi i koni, umożliwiając w ten sposób urządzenie pokazu, który niewątpliwie będzie miał doniosłe znaczenie w dalszym rozwoju leśnictwa *).

W. B.

*) Karczowniki „Australja" dostarcza po cenie oryginalnej „Centralne Biuro Leśne", Warszawa, Nowy Zjazd Nr 7.

Kartka z mojego pamiętnika łowieckiego.

Przed trzema dniami rozbiliśmy namiot na samej granicy lasu i pastwisk górskich, na bardzo małem zboczu nadzwyczaj stromych i pełnych czeluści gór Adżarskich.

Wszystkie jednak nasze starania, ażeby w tych porwanych przez potoki górskie okolicach sprobować polowania na giemzy, nie wydały żadnego rezultatu, i co najwyżej mogliśmy oglądać świeże ślady kozie. Do tej pory każdy z nas, t. j. pan B. i ja chodziliśmy oddzielnie, teraz postanowiliśmy w dniu 29 września udać się na polowanie razem. Ponieważ giemzy zatrzymywać się zwykły na skałach porośniętych drzewami, przeto tropienie ich było tem trudniejsze. Posuwać się naprzód bez wywoływania szelestu było prawie niepodobienstwem ze względu na brak jakichkolwiek dróg i ścieżek.

Obudziwszy się rano, musieliśmy czekać na opadnięcie mgły i dopiero około 10-ej wyszliśmy z namiotu w kierunku północnym, wzdłuż grzbietu górskiego, opuszczającego się stromo ku dolinie nad rzeką Rion. Grzbiet ten był gęsto zarośnięty drzewami iglastemi i liściastemi, głównie jodłami i bukami, które na wysokości piersi posiadały średnicę około 1 m. Z początku szliśmy wązką ścieżką, wydeptaną jeszcze latem przez pasące się tutaj bydło, ścieżka ta jednak rozbiegała się potem na różne strony i trzeba było szukać innego przejścia.

Jakkolwiek drzewa tutejsze nie miały żadnego podszycia, to przecież tyle leżało złamanych przez wiatr gałęzi i tyle przegnitych drzew nieraz o $1^1/_2$ m. średnicy, że trudno bardzo było posuwać się nam naprzód.

Nic nie mówiliśmy do siebie przez całą drogę, i gdyby nie łamanie się pod naszemi stopami suchych gałęzi, i nie szelest opadających liści, nic nie zakłócałoby wspaniałej ciszy leśnej. Czasami tylko zerwał się ptak, szczególniej spóźnione słonki, ale wnet uciszało się wszystko.

Nagle towarzysz mój, pan B. przystanął, nasłuchiwał i dał mi znak, ażebym zrobił to samo! Uszu moich doszedł głośny szmer. W jednej chwili przygotowaliśmy nasze fuzje do strzału. Co to może być? Wzruszenie ogarnęło nasze serca, zmęczone już tak długiem bezcelowem i męczącem chodzeniem.

Więc nareszcie natrafimy na zwierzynę! Że zwierzynę mamy gdzieś przed sobą, to nie ulegało wątpliwości. Z największą przezornością szliśmy teraz krok za krokiem, wstrzymując oddech, naprzód, a co chwilę przystawaliśmy, ażeby się przekonać, czy szmer słychać w dalszym ciągu. Czyżby to był niedźwiedź, poszukujący korzeni pod zeschłemi liśćmi? W wyobraźni swojej widziałem przed sobą zajętego robotą misia, słyszałem dwa równocześnie padające strzały i t. p. W tej samej chwili rozległo się „brrr"... szryk, szryk i tuż przed nami przeleciały dwie kozy, sprawczynie szmeru i naszego wzruszenia. Spojrzeliśmy po sobie, roześmialiśmy się szczerze, założyli broń na ramię i poszliśmy dalej tropić giemzy.

Po 1 i pół godzinnym pochodzie spostrzegliśmy koniec grzebienia górskiego i lasu wysokopiennego, trzeba więc było opuścić się na dół i wejść w gąszcz drzew laurowych i rododendronowych. Z tym ostatnim dalibyśmy sobie jeszcze radę, ale drzewa laurowe jakgdyby związały sobie ręce, ażeby nas nie dopuścić do wnętrza. Opasywały zaś one wszędzie, oplatały nogi, ramiona, fuzję, a nawet

smagały nas po twarzy do tego stopnia, że musieliśmy kłaść się na ziemię i staczać rozpaczliwą walkę, ażeby się uwolnić z niemiłego uścisku. Towarzysz mój zwyczajem miejscowym wziął z sobą kindżał, ciął też nim na lewo i na prawo bez litości i tym sposobem mogliśmy się wprawdzie posuwać naprzód, ale nadzwyczajnie wolno. Znaleźliśmy się w końcu w takim gąszczu, że nawet kindżał nie pomógł i musieliśmy sobie szukać innej drogi.

Zakręciliśmy na lewo i znów opuszczając się na dół, znaleźliśmy się w wązkim, ale bardzo stromym parowie. Tutaj odpoczęliśmy trochę, ale porozumiewaliśmy się z sobą tylko szeptem. Po pewnej chwili wstaliśmy i probowaliśmy wyszukać przejście do naszego namiotu. Mały potok górski mruczał w blizkości i spienioną wodę rozrzucał po skałach. Kamieni, po których ten strumyk się toczył, użyliśmy jako schodów i w ten sposób pięliśmy się po stromej nadzwyczaj ścianie pod górę.

Było już około godziny 5-ej po południu, a my mieliśmy jeszcze co najmniej 2 godziny ciężkiej drogi do przebycia. Doszliśmy do takiego punktu, w którym dwie skały dochodzą do siebie bardzo blizko i niemal się stykają z sobą. Tutaj zauważyliśmy na 15 m. nad powierzchnią wody na nadzwyczaj stromem zboczu skalnem trzy czy też cztery groty.

Zaciekawieni wielce, nie rzekłszy do siebie ani słowa, zaczęliśmy się ku nim skradać. Na dziesięć kroków od wejścia do tej groty, do której się zbliżałem, dostrzegłem zupełnie świeże ślady niedźwiedzia, prowadzące wprost do wejścia. Na osiem kroków przed grotą sterczały po lewej i prawej stronie wysokie głazy skalne, oddalone od siebie o 2 m.

Znaną to jest rzeczą, że najniebezpieczniej jest spotkać się z niedźwiedziem w jego kwaterze, zatrzymałem się też i namyślałem się co robić dalej. Wspiąwszy się na palcach, mogłem zajrzeć do wnętrza groty, i rzeczywiście po chwili dostrzegłem sam najpierw jedno a potem drugie błyszczące oko. Uradowany wielce cofnąłem się o kilka kroków w tył i skinąłem na towarzysza, ażeby się przybliżył, poczem opowiedziałem mu, co widziałem w grocie. Szeptem ułożyliśmy plan kampanji. Przybliżyć się do siedziby niedźwiedzia nie śmieliśmy, droga bowiem wiodąca do groty tak była wązka, że wypadający z niej niedźwiedź impetem swoim mógłby nas z niej strącić i spadlibyśmy w przepaść.

Mój towarzysz postanowił wrzucić przez otwór kilka kamieni, ja zaś stanąłem w pogotowiu, ażeby wymierzyć lufę na podrażnionego i wypadającego z nory misia. Ściana, o którą się oparłem, była nadzwyczaj stroma, z trudem więc tylko trzymałem się na nogach. Po drugim kamieniu, wrzuconym do groty, posłyszeliśmy głębokie mruczenie, świadczące o niezadowoleniu niedźwiedzia, wywołanem przerwaniem mu drzemki.

Towarzysz mój rzucał dalej i po czwartym kamieniu z szybkością, której niepodobna nawet opisać, wypadło z groty coś nakształt ogromnej kuli brunatnej. Padł mój strzał i w tej samej chwili towarzysz mój, schwycony łapami niedźwiedzia stoczył się razem z nim w przepaść.

Skamieniałem na ten widok, odzyskałem jednak natychmiast przytomność, gdy spostrzegłem, że pan B. żyje, a niedźwiedź zniknął mi gdzieś z oczu za wałem skalnym. Jak tylko mogłem najszybciej opuściłem się na dół i znalazłem się przy towarzyszu, który wstał zwolna i rozglądał się wokoło, jakby czegoś szukał. Nie było już wątpliwości, że strzał mój chybił. W połowie drogi znalazłem fuzję pana B. którą mu też teraz podałem, a przypatrzywszy się bliżej, dostrzegłem, że mój towarzysz ma twarz i ręce ogromnie powalane, a całe ubranie podarte na strzępy. Pierwsze pytanie moje brzmiało:

— Czy i gdzie pana boli?

Pan B. wyglądał jak człowiek przebudzony z twardego snu, ciągle rozglądał się naokoło i wreszcie jęcząc wyszeptał:

— Co tu się właściwie stało?

Wszystkie członki go bolały, na skroni miał skórę zdartą, ale na szczęście nie było to nic poważnego.

Niespodziewana, a taka bajeczna szybkość, z jaką niedźwiedź wyskoczył z groty, zupełnie nas wytrąciła z równowagi, kiedy jednak zrozumieliśmy już wszystko, co się stało, pomimo bólu uśmieliśmy się serdecznie.

Tymczasem słońce już zaszło i mrok zapadał, gdy kierowaliśmy kroki nasze dalej ku namiotowi. Nie tak łatwo było dojść do namiotu, zrobiło się bowiem wkrótce bardzo ciemno i z wielkim trudem po godzinie 7-ej dobiliśmy na miejsce, gdzie służący nasz nawet nie domyślił się, ażeby przygotować kapuśniak ze słoniną, nic bowiem więcej nie mieliśmy w naszych zapasach śpiżarnianych. Dobry, ale ogromnie ciemny człowiek objaśnił nas, że to przecież jutro niedziela, więc dziś lepiej przepościć, ażeby jutro przy święcie podjeść sobie uczciwie.

Nieraz potem gawędziliśmy o tem wydarzeniu, które ku wiecznej rzeczy pamiątce zapisałem na tej kartce mego pamiętnika.

Tyflis. — K.-K.

Niezwykli goście w Pilawinie.

Od szeregu lat pokazywały się w lasach Piszczowskich dzikie, olbrzymie poleskie łosie. Przychodziły one czasami z sąsiednich lasów i wychodziły napowrót — i jakkolwiek zdarzały się te wypadki rzadko, formalne legendy o tych łosiach opowiadano ciągle. W rzeczywistości jednak dzikie łosie w lasach Piszczowskich widywano naocznie.

Przy powiększaniu Pilawina — wiedząc dobrze, że było życzeniem p. Hrabiego, właściciela mieć także łosie w swoim parku, nie szczędziłem zabiegów, aby dojść do celu i zrobić swemu chlebodawcy niespodziankę.

Wiadomo wszystkim szanownym czytelnikom--myśliwym, jak ważną rzeczą jest odświeżanie krwi w każdym zwierzyńcu. Sprowadzane umyślnie sztuki są zwykle wątpliwego pochodzenia, a wiele się taka sprowadzana zwierzyna namęczy przez łapanie, transportowanie i t. p. Wywodzonego spokojnie łosia, prawdziwie dzikiego, nie zastąpi nigdy żaden transportowany.

Myślałem długo nad tem w jaki sposób dałoby się to zrobić najlepiej. Skakawki nie przemawiały mi do przekonania. Wprawdzie zrobiłem taką i jakkolwiek był wypadek, że łoś wskoczył przez jeszcze nieukończoną, słaba nadzieja powodzenia nasunęła mi myśl inną.



Łoś w Pilawinie.

Robiłem więc różne kalkulacje z rozgradzaniem przęseł to w jednem, to w drugiem miejscu, chcąc trafić na właściwy weksel zwierzyny, co po czarnej stopie jest rzeczą nie bardzo łatwą do uskutecznienia.

Służbie swojej podwładnej surowo nakazałem milczenie, dalej, aby się ściśle trzymała moich poleceń, w razie zaś gdyby który popsuł sprawę, zagroziłem utratą służby, w przeciwnym razie, gdy dojdziemy do celu, obiecałem nagrodę.

Zabiegi te trwały od wczesnej wiosny b. r. Wpierw nie można było myśleć o niczem, ponieważ ogrodzenie nie było ukończone, owszem nawet łosie nie pokazywały się wcale, gdyż ruch około urządzenia, jak zwożenie materjałów, grodzenie, czyszczenie, rąbanie i t. p. odstraszało zwierzynę.

Po ukończeniu ogrodzenia, (zostawiłem tylko kilka przęseł nie zagrodzonych przy domniemanych najpewniejszych wchodach i wychodach), żadnego tropu nawet nie widziano. Sądziłem już, że łosie poznały się na zasadzce i nie pokażą się wcale. Nie przestawałem jednak na tem, owszem nakazałem jaknajwiększy spokój koło miejsc niezagrodzonych. Wiedząc dobrze, że gwałtem nic nie zrobię, chociażbym całą wieś do naganki zwołał i starał się zapędzić łosie, bo łoś dziki, przywykły do swobody nie da się wpędzić przemocą do bądź co bądź wąskiego otworu.

Starałem się więc o ile możności zrobić te miejsca spokojnem, dzikiem ustroniem.

Do ostatniej chwili słaba była nadzieja. Widywano łosie, ale za parkanem w innem miejscu. Natychmiast kazałem tamte dwa otwory zabić, a w miejscu, gdzie łosie były widziane, rozgrodzić.

Z niecierpliwością czekałem na rezultat, tembardziej, że czas się zbliżał puszczenia wszystkiej zwierzyny do nowej części Pilawina, przyczem koniecznem było zagrodzenie owego otworu.

I jakież było moje zdziwienie, gdy w kilka dni potem przychodzi do mnie staruszek 70-letni, gajowy i mówi:

— Proszę pana, stało się to, co było pożądane, są łosie.

Słowom gajowego zrazu nie wierzyłem.

— Może wam się tylko tak wydawało?

— Nie, proszę pana, na własne oczy widziałem 4 sztuki—klempa, jedno zeszłoroczne i dwa małe tegoroczne.

— Aż cztery sztuki?

Natychmiast wskoczyłem do wózka i wraz z gajowym pojechałem na miejsce, aby zobaczyć rzeczywiście świeże tropy łosiowe.

Po szybkiem zagrodzeniu otworu i po skonstatowaniu na miejscu prawdziwości raportu gajowego, zupełnie spokojny zawiadomiłem o tym fakcie swoją przełożoną władzę, która również z niedowierzaniem tę wiadomość przyjęła.

Wiem, że tej nocy spałem doskonale, śniło mi się nawet coś o łosiach, nie pamiętam dobrze, co.

Rano dnia następnego, gdym siedział przy biurku zajęty czynnościami, wpadają gajowi zziajani, wystraszeni, o bladych twarzach i mówią:

— Wszystko przepadło, łosie wyszły.

— Łotry!! gdzie? którędy?

Dalej już nie wiem co się zemną działo. Dopiero w lesie ocknąłem się i zauważyłem, że nie mam kapelusza na głowie.

Gajowy milcząc wiózł mnie na miejsce katastrofy.

Oczom moim przedstawił się niezwykły widok. Część parkanu strzaskana na drobne kawałki. Dołem dwie deski zbryzgane błotem, 3 następne strzaskane, a czwarta spodem wysmarowana tłuszczem, obok leży kawałeczek zdartej skóry z grzbietu łosia ze sierścią.

Przeszedłem przez parkan na drugą stronę (miejsce uszkodzone gajowi natychmiast prowizorycznie załatali) i zobaczyłem trop łosia silnie wyciśnięty w ziemi. Poza tem nigdzie obok nie było widać najmniejszego śladu innego, co mnie naprowadziło na przypuszczenie, że tylko jeden łoś wyszedł.

Natychmiastowe poszukiwania do ciemnej nocy potwierdziły to przypuszczenie, widziane bowiem były wprawdzie tylko 3 sztuki, ale łosie są.

Chwała Bogu!—myślę.

Na drugi dzień widziałem cztery sztuki.

Wyobrażą sobie szanowni czytelnicy, com przeżył dnia tego i póki żyć będę nie zapomnę doznanych wrażeń.

A teraz wypada zastanowić się nad tem, w jaki się to sposób stało?

Parkan solidnie postawiony, nigdzie najmniejszego otworu nie było, a wadliwe żerdzie zostały naprawione.

Pamiętam parę dni temu, kilka kroków od miejsca katastrofy wypoczywając, wyciągnąłem termofor i zaspakajałem pragnienie gorącą herbatą.

Są różne przypuszczenia co do tego faktu.

Moje jednakże, że się tak wyrażę, ustalone przypuszczenie jest takie:

Przez wspomniany wyżej otwór umyślny weszło nie 4, ale 5 sztuk, co trudno było rozpoznać po czarnej stopie.

Jeden łoś odbił się od towarzyszy, a natrafiwszy na płot, szukał wyjścia, chodząc koło niego. W trakcie tej czynności musiał się czegoś przestraszyć, możliwie pies jaki go atakował. Wtedy łoś przemocą rzucił się do parkanu, jedna żerdź pękła, a gdy wsadził głowę, resztę siłą rozepchał.

Na miejscu tem widać straszną walkę zwierzęcia z wytrzymałością parkanu. Kawałeczek wydartej skóry z sierścią świadczy o tem, dalej silnie wryte tropy, otłuszczona od grzbietu wciskającego się łosia żerdź i inne.

W każdym razie wypadek to rzadki, godny zanotowania, ciekawy dla każdego myśliwego, to też postanowiłem podzielić się z szanownymi czytelnikami, umieszczając to w łamach poczytnego naszego pisma.

Adam Zosel.
sam. gosp. leśny.



Projekt jarmarków leśnych w Wilnie.

Z inicjatywy prezesa Komitetu leśnego przy Tow. rolniczem świeżo został opracowany projekt jarmarków leśnych przez komisję z p. Zajączkowskim na czele. Projekt ten brzmi jak następuje:

„Jednym z głównych warunków dla rozwoju wielkiego przemysłu i handlu jest prawidłowe uregulowanie zbytu i kupna materjałów i produktów przemysłu i handlu, i dlatego staraniem odpowiednich instytucji być winno zbliżenie wzajemne sprzedających i nabywców w jakiemś najdogodniejszem dla nich centrum i w czasie, który jest najwłaściwszy dla ruchu danych artykułów.

Komitet leśny przy wil. Tow. rolniczem mając na celu spółdziałanie rozwojowi handlu i przemysłu leśnego, uznał Wilno za centrum rejonu leśnego nadniemeńskiego, wygodnie położone między Mińskiem i wschodnio-pruskiemi środowiskami handlu. Poza tem jest tu wiele tartaków, Towarzystwo rolnicze, składające się przeważnie z właścicieli lasów, wielu przemysłowców leśnych, oraz zarząd dóbr państwa i okrąg komunikacji wodnych na gubernję: wileńską, kowieńską i grodzieńską—i dlatego Wilno jest najodpowiedniejszem centrum dla zbliżenia sprzedających i kupców, tak lasów, jak i materjałów leśnych.

Komitet tedy postanowił corocznie urządzać w Wilnie dwa jarmarki leśne, a mianowicie: 1-szy od 15 (28) lutego do 20 lutego (4 marca) i 2-gi od 14 (27 października do 18 (31) października, przy zachowaniu następujących przepisów ogólnych:

1) Od dnia 1 (14) stycznia dla jarmarku 1-go i od dnia 1 (14) września dla 2-go ogłaszać w gazetach miejscowych, oraz gazetach mińskich, grodzieńskich, kowieńskich, warszawskich, tylżyckich, kłajpedzkich i królewieckich o czasie jarmarku i jego warunkach;

2) Zawczasu wysyłać do wybitniejszych właścicieli lasów, przemysłowców leśnych i handlowych firm leśnych zawiadomienia o jarmarku i warunkach jego, wraz z zapytaniem, czy pragną być zapisani na listę uczestników, co pociągnie za sobą obowiązek nadesłania 3 rb. wpisowego.

3) Z jarmarkiem połączyć kupno i sprzedaż nasion leśnych, narzędzi i maszyn do siewu i sadzenia lasu, wydawnictw leśnych, oraz biuro polecania specjalistów do prac leśnych i oficjalistów;

4) Komitet opracuje instrukcję dla tych jarmarków i będzie pobierać od każdej umowy do 500 rb.—1 proc., do 1000 rb. 3-czwarte proc., do 10,000 rb. pół proc., do 50,000 rb. 1-trzecia proc., ponad 50,000 rb. 1-czwartą proc. i wyżej 100,000 rb.—1-szóstą proc. tytułem komisowego od każdej ze stron.

RÓŻNE.

Proboszcz i kłusownicy. Proboszcz unicki we wsi Zadki, we Wschodniej Galicji, ks. Łomnicki otrzymał wyrok śmierci za to, że z ambony gromił kłusownictwo. Parafia w Zadkach znana jest z tego, że prawie cała ludność zajmuje się kłusownictwem. Proboszcz zlekceważył ten wyrok, zamiast natychmiast uwiadomić władzę, gorzko też za to odpokutował; już bowiem następnej nocy dano przez okno do wnętrza plebanji kilkanaście strzałów, od jednego zaś z nich padła na miejscu trupem 12-letnia córka księdza. Od innego strzału poniosła lekkie rany żona proboszcza, ktory sam wyszedł obronną ręką. Od tej pory sześciu ludzi strzeże dniem i nocą plebanji.

Egzotyczny gość. Hr. J. Potockiego w Antoninach odwiedził rzadki. w naszym kraju gość, wódz plemienia somalów, Aden-Maduba Ali-Char Ebben-Eggal, towarzysz łowów i niebezpiecznych przygód myśliwstwa hr. Potockiego w Afryce.

Po kilkodniowym pobycie w Antoninach Ali-Char odwiedził także drugiego współuczestnika interesującej i niebezpiecznej wyprawy myśliwskiej w kraju Somali, pełnym grubego zwierza, jak lwy, lamparty, słonie i nosorożce, Tomasza hr. Zamoyskiego w majątku jego Jabłoń, w gub. siedleckiej. Gościnnie i serdecznie przyjęty, bawił u niego dwa tygodnie, rozkoszując się oglądaniem wspaniałych zbiorów myśliwskich.

Ali-Char przejeżdżał przez Warszawę w Towarzystwie Tomasza hr. Zamoyskiego i z dworca warsz.-wiedeńskiego udał się przez Wiedeń i Tryest do Adenu, stamtąd zaś do samej ojczyzny.

Miły, inteligentny i rasowy czarno bronzowy gość, który męstwem swem we wspólnie przebytych niebezpieczeństwach myśliwskiej wyprawy zjednał sobie przyjaźń Tomasza hr. Zamoyskiego, żegnany był najserdeczniej na dworcu warsz.-wiedeńskim w przedziale wagonu sypialnego przez Tomasza hr. Zamoyskiego i córki jego: hrabiankę Elfrydę i hrabinę Albertową Wielopolską.

Wielka droga wodna. Jednem z największych przedsięwzięć ostatnich czasów będzie budowa drogi wodnej, łączącej morze

Baltyckie z Czarnem. W chwili obecnej dokonywane są badania w dwóch kierunkach: Ryga—Chersoń i Petersburg—Chersoń. Według pierwszego kierunku nowa droga wodna będzie wynosiła 2,200 wiorst i kosztować ma 260 miljonów rubli, a według drugiego projektu koszta budowy, przy długości 2,500 wiorst, wyniosą 325 miljonów rubli. Droga idzie od morza Czarnego wzdłuż Dniepru do Orszy. Stąd do Dźwiny Zachodniej pod Witebskiem przekopany będzie kanał długości około 100 w. Następnie od Dźwiny Zachodniej droga pobiegnie według jednego projektu ku Rydze, a według drugiego do Surażowi, gdzie zacznie się nowy kanał, również długości około 100 wiorst do rzeki Łowati, wzdłuż tej rzeki dalej przez jezioro Ilmen, rzekę Wołchwę, jezioro Ładogę i Newę do Petersburga.

Badanie tych dróg rozpoczęło się już w 1912 r. i polega głównie na zdejmowaniu planów i hydrometrycznych robotach. Badanie doprowadzone zostało już do Witebska. W maju 1914 r. ukończony zostanie projekt Ryga—Chersoń, a w rok później, w maju 1915 r., opracowany będzie projekt Petersburg—Chersoń. Na urzeczywistnienie tej budowy potrzeba conajmniej 10 lat.

Obliczenie łosi w Estonji. Zwołana z łona większych właścicieli komisja dokonała niedawno obliczenia wszystkich łosi, z których ta mała, bo tylko 21,000 klm. kw. obejmująca prowincja słynęła przez czas długi. Jak się okazało, ilość łosi maleje z roku na rok, i obecnie doliczono się zaledwie około 500 sztuk tej zwierzyny.

Nawożenie łąk i pasza dla zwierzyny. Jeżeli chcemy stworzyć dla zwierzyny naszej lepszą paszę, a łąki posiadamy bagniste, to wtedy jako najlepszy środek służyć nam może kainit i mączka Thomasa. Na początek bierze się 6 — 8 centnarów kainitu i 3—4 cent. mąki na mórg. Jeżeli łąki posiadają grunt mineralny, to więcej odpowiada celowi zastąpienie kainitu oczyszczoną solą potasową (40%), której 2 — 3 cent. na mórg wystarcza. W takim razie można zalecić także superfosfat, jako działający szybciej przy pierwszem użyciu. Ponieważ jednak łąki, jeżeli chcemy, ażeby stale dawały dobrą paszę, muszą być corocznie nawożone, przeto tylko gdy chodzi o początek, mączka Thomasa pozostaje w tyle za superfosfatem, w następnych latach okażą się dopiero korzyści. Używając mączki Thomasa, mamy jeszcze tę pewność, że do gruntu wprowadzamy wapno, które doskonale wpływa na formację rogów. Na łąkach nie bagnistych bezwarunkowo konieczne jest nawozenie azotowe, jeżeli wapno i fosfor mają wywrzeć wpływ. Wobec tego po rozpoczęciu wegetacji należy rozsypać saletrę chilijską (1 cent. na mórg). Jeżeli tę saletrę zmieszamy z taką samą ilością piasku i dobrze ją rozdrobnimy, a rozsypiemy po polu koniecznie przed południem, to niema najmniejszej obawy, ażeby taka mieszanka, pomimo, że zawiera składniki trujące, zaszkodziła zwierzynie. Kainit, potas, mączka Thomasa i superfosfat nie mogą w tych rozmiarach, jakie podajemy tutaj, oddziałać źle na zwierzynę, choćby ona nawet spożyła je razem z paszą. Rozsypywanie powinno się odbywać już na jesień. Używam sztucznych nawozów od lat 25-ciu i nie przekonałem się dotąd, ażeby one miały zaszkodzić paszy dla zwierzyny.

Jelenie Altajskie w Springe. Od chwili, gdy jelenie, które pospołu z dzikami zaludniały wyłącznie park w Springe, wskutek tarcia rogami drzew stały się tak dokuczliwe, że zarząd czuł się zniewolony wystrzelać je doszczętnie—od tej chwili przypuszczano, że drzewa nie będą ponosiły szkód, gdyż pozostały tylko jelenie Altajskie, w znaczniejszej ilości przez radcę legacyjnego d-ra Bumillera zaaklimatyzowane, o tych zaś mieszkańcach górskich nie przypuszczano, ażeby one miały takie nie piękne narowy. Wobec tego w roku 1899-ym sprowadzono od Hagenbeka 3 ciołki Altajskie, które utworzyły podstawę dla obecnego zwierzostanu. Niestety omylono się również co do tej zwierzyny, pomimo bowiem starannego pielęgnowania, zaczęły one tak trzeć drzewa, że zarząd wpadł z deszczu pod rynnę i zmuszony był, niechcąc się pozbywać marali, pomieścić je w takiej części lasu, gdzie nie mogły już robić żadnych szkód. Tutaj zwierzostan zaczął się zwolna powiększać, dlatego zaś zwolna, że rozmnażanie było bardzo nieregularne. W niektórych latach przyszły na świat 2 ciołki, w niektórych 1, a w jednym roku było ich 8 sztuk. Tym sposobem zwierzostan marali po wystrzeleniu w ostatnim roku 2-ch byków i 3-ch łań, wynosił tylko 21 sztuk, które się trzymają bardzo dobrze. Chore sztuki, lub też takie, które nie nadawały się do dalszej hodowli wystrzeliwano w stosunku 1—2 sztuk rocznie. Pomimo wielkiej staranności, nie podaje zarząd parku w Springe zbyt obficie silnej paszy, jak to się dzieje w różnych innych łowiectwach. Wobec tego byki nie wybiegły jeszcze ponad dwunastaki, a rogi nie osiągnęły tej grubości, jakiej można było się spodziewać po egzemplarzach maralów, wyrosłych w swojej ojczyźnie. Wogóle rogi maralów w całym ich kształcie daleko są gorsze od rogów zwykłych jeleni. Nie przeszkadza to wcale, że maral jest imponującem stworzeniem ze względu na potężne kształty swojego ciała. Zabity przez cesarza Franciszka Józefa maral ważył 556 funtów, a z pewnością przed bekowaniem przekraczał 6 centnarów wagi. Maral ten miał lat 9. Taki sam pod względem wieku dwunastak był niestety na wiosnę przez innego jelenia zabity, gdy pierwszy z nich już odrzucił rogi. Podobnego pod tymwzględem dwunastaka upolował przed kilku laty niemiecki następca tronu.

Gdyby marale były mniej szkodliwe dla gospodarstwa leśnego, to możnaby im wyznaczyć większą przestrzeń do rozmnażania, co niewątpliwie wpłynęłoby na ich lepszy wzrost.

LISTY DO REDAKCYI.

W sprawie osobistej p. p. Celichowskiego i Przyborowskiego otrzymaliśmy następujące dwa listy:

Szanowny Panie Redaktorze!

W odpowiedzi na listy p- p. Celichowskiego, Nassius i Dusoge, ogłoszone w Nr 4-ym „Gazety Leśnej i Myśliwskiej", przesyłając przy niniejszym do łaskawego przedrukowania oświadczenie zastępów moich—zaznaczam:

Obrazy listownej, przesłanej pod adresem p.p. Nassius i Dusoge bynajmniej nie odwołuję—owszem akcentuję jej rozmyślność; natomiast zaznaczam, iż ludziom, którzy jak Ci panowie, chcąc niezgodnemi z prawem honoru drogami uwolnić człowieka małej odwagi od dania satysfakcji, na mój honor następują, tylko takie odprawy dawać mogę.

Łączę wyrazy szacunku i poważania.

Henryk Przyborowski.

Dołba pocz. Rusinowicze, gub Mińska.

Szanowny Panie Redaktorze!

Uprzejmie proszę o umieszczenie w Swem poczytnem piśmie mojego oświadczenia.

W Nr 4 „Gazety Leśnej i Myśliwskiej przeczytałem zdumiewające oświadczenie panów Nassiusa i Dusoge'a, w sprawie pomiędzy p. p. H. Przyborowskim i W. Celichowskim, gdyż jako zastępca p. H. Przyborowskiego, żadnego listu od wyżej wspomnianych Panów o dniu zebrania, jak również o pełnomocnictwie Ich w wspomnianej sprawie nie otrzymałem.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

K. Czarnicki.

Warszawa.



MIESZKO Z PODLASIA.

Gawędy starego gajowego Pawła Gałązki.

Nieżyjący już stary mój sługa, Paweł Gałązka, był typem na wymarciu, obrazem przeszłości, żywą encyklopedją zwłaszcza w literaturze myśliwskiej. Kopjował tajemnice natury i w szeregu szkiców, barwnie przed słuchaczami rzucanych był źródłem nieprzebranem zawsze zajmujących opowieści. Miał wrodzony dar gawędziarski i choć często dziesiątki razy powtarzał opowieści, zawsze były nowe, inaczej ubarwione, w inną ubrane formę, a przez to zawsze zajmujące.

Potrafił opowiadać—mówili wszyscy, znający go bliżej.

Ale ja powiem, że nietylko opowiadać potrafił, lecz jeszcze przy tych opowieściach umiał dostosowywać takie gesty przekonywające i ruchy żywe, mocne, iż patrząc na jego całe zachowanie i na jego blado-niebieskie, szczere oczy, mówiłeś sobie w duszy: nie kłamie! choć opowiadał zdarzenia bynajmniej niepowszedni.e

Znał on doskonale psychologię zwierzyny i kapitalnie odźwierciadlał w opowieściach, naprzykład:

— Niech pan stanie na tem stanowisku, bo tędy napewno kozioł będzie szedł. Czy widzi pan tamtego dębaka gładkiego, przy górce? Otóż tam kozioł się z pewnościa zatrzyma i będzie medytował gdzie iść. Niechże pan wtedy do niego nie strzela, bo on przyjdzie tu, tylko wpierw pomyśli sobie: iść, czy nie iść, a potem powie sobie znów i

tak! E, nie będę odkładał, pójdę prosto w zagajnik—może tu niema nikogo".

I rzeczywiście, kozioł w tem samem miejscu, gdzie on wskazywał, stanął, medytował i potem poszedł już „prosto na stanowisko".

— Tylko trzeba stać cicho i nie kręcić się—mawiał zawsze.

Był on już w swojem życiu i „pod dzikiem i na dziku" i przy sztychach karabinów i „od nich" kolbami po głowie tak bity, że odtąd już go głuchota do śmierci nie opuściła. Wisiał już także „na postronku, przy lipowej gałęzi", za ukrycie doskonałej dubeltówki, po sześćdziesiątym trzecim roku. Do samej śmierci kiedy przechodził pod tą gałęzią lipową, krew mu się w żyłach ścinała na samo wspomnie tej godziny.

Najlepiej go pamiętam przy kominku, czyszczącego broń myśliwską. Na kominku ogień trzaskał, to znów surowsze drzewo „płakało", wydając przytem swój głos żałośliwy; na dworze wiatr huczał aż szybami trzęsło; zadymka djabelskie harce wykręcała, a on siedział na stołku i trzymając w garści broń gaworzył o dawnych, lepszych dziejach, po tylekroć strasznych, tylekroć tchnących zimną śmiercią i głodem...

— Hej!—mawiał—jest teraz dużo strzelców, lecz mało myśliwych. Tak samo jest teraz dużo chleba, ale więcej biedy, więcej złodziei i złych ludzi. Dawniej choć często „rządził bat", lecz byleby bat sprawiedliwy, to zły człowiek bał się tego bata więcej, jak dzisiejszego więzienia. Zresztą ludzie byli mniej chciwi, byli sobie więcej bracią i Boga w swoich piersiach nosili. To też kłódek ludzie nieznali.

Raz baczy, jak wędzoną szynkę dworską, chłopak ze wsi z drzewa skradł, to go chłopi przez wieś całą przeprowadzili, z uwiązaną szynką u nogi i na obu końcach wsi i na samym środku, dali mu „chrzest", dla lepszej pamięci. I odtąd już chłopak nie był złodziejem. Nieznałeś także granicy. Wszystko co Bóg dał, było twoje i moje. A teraz to i psu za granicę somsiada niewolno, choć on tego nierozumie. Dzisiaj inne są czasy, inni ludzie.

Srogie zimy ja pamiętam, „wielkie lasy", ogromne gąszcze, torciny, chrapy i trzęsawiska i bełcha zdradliwe, a w tem wszystkiem mnogość ptactwa i zwierza. Wyszłeś przed próg, to gdzieś spojrzał, w którąbyś się stronę nieobrócił, widziałeś precz lasy i lasy, bez przerwy.

Jechałeś od miasta do miasta tylko lasami, szłeś od wsi do wsi samym lasem. Dziś o zająca trudniej, jak dawniej o dzika, bo zwierzyna niema oparcia. Hej! płakać mi się teraz chce, kiedy to se wszystko spomnę. Lasy wycięte, bagna osuszone, tam gdzieś kiedyś nogą nie mógł wstąpić, dzisiaj zboże sieją, zwierza przeganiają, biją i kaleczą, byle partacze. Oj, niema oparcia dla zwierza, niema. To też już nie uciecha żyć mi na tym świecie. Żal tylko pozostał, żal po tem co było, a już nie wróci. O cho!—wszystko przepadło i z niem moje młode lata...

Pamiętam ja takie czasy, że bociany z zamorskich krajów już wróciły, kiedy śnieg upadł w post. Do szaflików w podwórze przychodziły one wtedy i resztki po świniach wydziobywały. Bywały i zimy bezśnieżne, było to tak w powstaniu.

To znów leżały takie srogie śniegi, przez calutką zimę, że w całej okolicy, tutejszej, pozostała tylko jedna kuropatwa, którą złapałem i tak trzymałem do wiosny, a potem to mój pan dziedzic nie mógł prędko pary dla niej znaleść. A kiedy już później parę mieliśmy i z tej pary wylęgło się stadko, szesnaście sztuk, to znów ochranialiśmy tę rodzinę, jak gdyby to były jakie ptaki zagraniczne. Ale ten ratunek i ta opieka uratowało to ptactwo od zupełnej zagłady. Tej samej zimy pamiętam, że bez strzałów, tylko z psem, zające brałem. Zając na miejscu jamurą robił i krzak tylko ogryzał, bo dalej nie mógł iść, więc jak trafiłeś na niego, to zając tylko skoki śmieszne wyprawiał, wyskakując do góry i kiedy znów buchnął w śnieg, to nie widać go było. Wtedy duży pies z łatwością każdego zająca brał. Ale to było już tylko morderstwo, nie polowanie.

Od jedenastu lat ja polowałem. Nieboszczyk rodzic mój, świeć Panie nad jego duszą, na Boskim sądzie teraz jest, pasł owce we dworze, a ja mu pomagałem i wtedy nauczyłem się strzelać. A przy owcach trzeba było mieć fuzję, bo juchy wilki nacierały. Kiedy owce zlękną się i zbiją się w kupę, napewno widziałem, że gdzieś tam leży zając i uszami strzyknął. Chodziłem wtedy na to miejsce i na upatrzonego biłem.

Z wilkami tylko ciągle jakieś komedje były. Choć i one potrzebne były, gdyż szkody w polu mało wówczas było, zwłaszcza w nocy chłopi bali się wypuszczać swój dobytek na pastwiska.

Pamiętam ja raz takie zdarzenie:

Paśliśmy konie pod lasem, a była nas kupa chłopów, kiedyśmy spostrzegli czołgającego się wilka do koni. Chcąc dobrze zobaczyć jak wilk do konia się bierze, powiedzieliśmy sobie, by mu nie bronić takiej próby, tylko jak już byłoby źle z koniem, wtedy wilkowi stracha nagonim. Tymczasem prędzej niśliśmy się spostrzegli, wilk rzucił się w okropnych susach do konia i przez jedne zdrowaś było po koniu,

Tylko tyleśmy mieli pociechy, że go nie żarł i że zęby białe nam pokazał. No, ale więcej już takich prób niechcieliśmy robić. Zdarzenie to stało się w jednym momencie i to tylko usprawiedliwia, żeśmy mu nie zapobiegli.

Bywały one śmiałe, psiekrwie! Nieraz w tęższe zimy wyjeżdzaliśmy na nie z prosiakiem i psami, że zawsze dobrze nam się udawało. Razu jednego omal że to śmiercią nie przypłaciliśmy. A było to tak:

Przy śnieżnej, mroźnej i księżycowej nocy, wyjechaliśmy w dwunastu dużemi saniami,

przy których była uwiązana wiązka grochowin i w saniach leżał prosiak. Kiedy byliśmy już na skroju lasu, chłop zaczął gnieść prosiaka, na co ten zaczął zaraz mu odpowiadać swoim świńskim głosem. W krótkim bardzo czasie pędziło już za nami stado wilków, złożone tak ze dwudziestu sztuk. Konie rwały z kopyta, że aż miget szedł w oczach, a wilkom jakoś droga prędko ubywała i były od nas coraz bliżej. Wtem szelma fornal, choć nie zdrzemał się przecież, gdyż był sam w strachu, huknął saniami w ogromny pień. Prosiak wyskoczył z sanek, konie rzuciły się w bok, szarpnęły raz i drugi, wreszcie zerwały zaprzęgi i jak wicher popędziły przed siebie, a myśmy pozostali na opatrzności Boskiej. W jednej chwili wilki znalazły się przy nas i jęły chłapać ząbkami, że aż zamróz w koście w chodził i coraz rwały za sanie. Przyszło więc do zaciętej obrony. O tak: za co kto mógł, to łapał i nacierające, głodne wilczyska okładał.

A mieliśmy czem się bronić, mając z sobą dobre strzelby, mocne dzidy i długie noże. Tylko że naboi nie mogliśmy więcej użyć po nad te, jakieśmy mieli w lufach. Krótki czas był do nabijania powtórnego, bo wilki wciąż zacięcie nacierały. Chociaż myśmy niepróżnowali i praliśmy je po łbach i karkach co tylko wlazło. Aż tak doszło do tego, żem ogromną, starą wilczycę, widać matkę całego stada, „lunął tak bez łeb“, że na miejscu kozła wywróciła. Dwóch odważniejszych z pomiędzy nas, wyleźli wówczas z sanek i nadzieli ją dzidami tak głęboko, by już więcej nie wstała.

Rzuciło to trwogę na resztę stada, ale o ustąpieniu od nas ani jeszcze myślały.

Aż tu patrzymy, od strony dworu kupa chłopów końmi pędzi, nam na ratunek. Otucha wtedy w nas wstąpiła, więc jęliśmy jeszcze mocniej prać. Bo choć było nas dwunastu, wszyscyśmy byli wilkom znajomi, to jednakowo trzeba państwu wiedzieć, że już strach nam w oczy zaglądał coraz głębiej. Szczęście od Boga, że to od dworu niebyło daleko, więc kiedy konie w pianach, rano, w porwanych zaprzęgach wróciły, odrazu zrozumieli tam, że jest źle z nami i gońców co duchu na pomoc pchnęli. To nas uratowało. Inaczej byłyby nas psiekrwie zżarły z kośćmi.

Pomimo takiego okropnego przejścia, na drugą noc wyjechaliśmy zrana z prosiakiem. Ale złożyło się wówczas na fatalną trzynastkę i „widać bez to się nieposzykowało“.

Zabrał się z nami jeden pan miejski, niby okrutny myśliwy i odważny, ale zarazmy się przekonali, że „odwaga była u niego tylko w gębie“, bo kiedy wilki się pokazały, nikt go nie mógł poznać, tak się zmienił. Z takiego gębacza, zrobił się potulniutkim zrazu, a potem zaraz ostatnim tchórzem i mazgajem. Mówił pacierze, płakal nieludzkim głosem, swojego pana po rękach chciał całować i w cały głos płaczliwie wołał:

— Zmiłujcie się nademną, zmiłujcie! Ja mam żonę i dzieci—zmiłujcie się, zmiłujcie!... nie strzelajcie! nie drażnijcie, ich na Boga was zaklinam! niechże ten prosiak nie kwiczy! — darł się w niebogłosy.

Żadna perswazja i nawet wymysły nic nie pomogły. I musieliśmy prosiaka zaprzestać ugniatać, bo ten miastowy pan zaczynał nam coraz mdleć, więc wróciliśmy wówczas źli i pełni śmiechu do domu, ale wróciliśmy zarazem z figą i wstydem tylko przez jednego tchórza A niech to djabli, z takiemi miejskiemi ochotnikami! W gębie to był najodważniejszy, ale jak przyszło co do czego, płakał jak dzieciak od cycka.

Innym razem często nam się udawało z dobrym plonem wracać z takich objazdów i już nie mieliśmy takich śmiertelnych strachów. Jeśli wilki nacierały, zabiło się najbliższego i można było zleść po niego i nawet na poczekaniu skórę ściągnąć, by to ścierwo uwiązać i wlec za sankami.

One się na ten czas usunęły na bok i potem znów pędziły za nami. I to trzeba było wiedzieć jak się ostrożnie zachowywać, gdyż inaczej nie chciały juchy bardzo nacierać. Ubitego wilka, jak tylko było im zostawić, zwłaszcza obdartego ze skóry, zaraz rozszarpywały.

Miałem już z niemi do czynienia niemało i nienapróżno z ogarami na nie polowałem. A nasze ogary goniły doskonale wilki. Mądre wilczyska zawsze były. Kiedy potrza, idą w pojedynkę, inną razą trzymają się kupy. I w gonieniu jeden drugiemu pomaga, widzą juchy gdzie na stanowiskach stawać na lody kozy wganiają, zająca w kotlinie kołem otaczają i ucapią, a takie szelmy są śmiałe, jak głodne, że nocą nawet po psy do wsi przychodzą, do owiec się podkopują. Umęczą one nawet czasami i dzika, jak ich jest kilkunastu, a jakimi sztullami go biorą opowiem państwu.

Miałem już lat z piętnaście, kiedy trafiłem na taką „historję“. Po dużym śniegu szedł dzik, pojedynek, a wokoło niego było siedmiu wilków. I tak: jedne były przed nim, drugi zanim, a reszta po bokach. Dzik chrochal, chłapał zębami, jakby kto w deski bił, nastroszył się i coraz się w bok rzucał, bo wilki go „cychały“. Ja strzelby wtedy z sobą nie miałem, więcem się cicho wsunął ze strachu na dęba i tak ukryty patrzałem ciekawie na tą całą awanturę.

Tymczasem dzik z wilkami doszedł pomiędzy stare sosny i dęby i tam się obstanowił, gdyż wilki zaczęły na niego ogromnie ostro nacierać. Dzik jak mógł, tak się nie dawał, aż chlasnął w bok tak nieszczęśliwie, iż zamiast do brzucha wilka, wpakował głęboko kieł w drzewo dęba.

I to go zgubiło. Kieł mu uwiązł w drzewie tak mocno, że nie mógł go wyciągnąć. Och, trzeba było wtedy widzieć co się działo! Ja tego już nigdy nie zapomnę! Hej! ryczał, ryczał wówczas ten dzik, a wilki juchy niechże ich djabli wezmą, jakże się też chizo wuswo-

jej robocie uwijały. Aż skóra na mnie cierpła, kiedym patrzał na to, więc siedziałem cicho jak trusia. Ale że się krótko męczył, gdyż wiedziały one ścierwa, jak się do niego zabierać. Od ogona kiszki zaczęły mu wyciągać... Ta scena odbyła się zrana, a ja już do samego południa na dębie przesiedziałem.

Niemiło jest słyszeć jak one wyją. Raz w lesie także przed niemi musiałem na drzewo się wdrapać, bo strzelby wtedy z sobą nie miałem. Lecz one mnie nie widziały i tylko podeszły pod same prawie drzewo, na którem właśnie siedziałem, a było ich czterech, przysiadły i trąby podniosły do góry i wyły. O, psiakrew, pamiętam ja dobrze, że włosy mi wtedy na głowie stały i rosły wciąż pod czapką.

Ale raz za to ogromnie zemściłem się nad niemi. Śliczna ponowa upadła o samem świtaniu, wziąłem więc dubeltówkę i idę do lasu, aż tu patrzę: świeżutkie, jak pisał, tropy dzika, a przy nich zdrapane rypaniem ślady wilków. Odrazu zmiarkowałem co się dzieje i trop w trop chodziłem za niemi z nabitą dubeltówką. Idąc tak dalej za tropem, widziałem, że jest już z dzikiem zupełnie źle. Powiadam państwu szczerze, że miejscami krew już z niego daleko bryzgała, a kołtunów dziczych całemi garściami zbierałem.

Na ten widok okrutna złość mnie porwała, więc pędziłem za śladem aż koszula mokra była. Wszak nakoniec zgoniłem ich wszystkich w dużej i gęstej świerczynie. Cicho się szło, bo śnieg był świeży, mięki i ziemia nie była zmarznięta. I jakoś wtedy tak doskonale się stało, że dzik kołem okładał wciąż atakowany przez wilków, których było dziewięciu i „jak raz szedł na mnie". Zaciąłem wówczas zęby i stanąłem ukryty za dębem, nawet nie bardzo grubym, lecz za to w razie wypadku jakiego, mogłem się na niego z łatwością wdrapać. Dzik ledwie powłóczył nogami — tak mi się przynajmniej zdawało—ale jeszcze nieźle się bronił. Na ślepiach był jak szalony, chłapał głośno zębiskami, a cały ryj miał upieniony! Tymczasem wilki tak się zażarły, że na nic już nie zważały, tylko coraz dopadały do niego i rwały mu zadnie szynki głodnemi mordami! Właśnie dwóch razem zachodziło mu z boku i doskonale ustawiały mi się do strzału. A że stanęły w kupie, więcem pomiędzy obydwóch wziął na cel i wtedy huknąłem w psubratów. Wprawdzie nie było to daleko, bo może tylko ze trzydzieści kroków, alem ich dobrze migł. Obydwa na miejscu padły. Wtedy wykręciłem się za trzecim — i ten trzeci hycel już niedaleko poszedł. Takiem ich, moi państwo, urządził. Poszłem ja potem po furmankę do dworu i z panem dziedzicem dzika jeszcze zdążyliśmy dokończyć. Ale rozpacz było patrzeć na niego. Mięsa w szynkach prawie już całkiem nie było Cały zad miał w jednej wielkiej ranie, że litość człowieka brała patrzeć na to wszystko. Jednakowoż z ładnym łupem wróciliśmy do domu, przecież pełne sanki mieliśma tego ścierwa! Ciepłą on jucha, niby wilk, skórę ma, tylko bestja śmierdzi okrutnie, choćbyś niewiem jak ją suszył.

Kopaliśmy je także i w dołach i trafiało się różnie, ale cóż to? — wilk wpadł w nocy w dołek, za przynętę i potem mu się w łeb paliło, bez żadnej innej pociechy z myśliwskiej strony. Ma on złodziej nie bylejaki nos i kiedy zasiądziesz na niego przy zdechłej kozie ominie, to musisz wszystkie swoje zmysły na pomoc wziąć, ażeby go oszukać. Tak moi państwo. A nie jest to łatwo, bo on i wkoło człowieka obchodzi, zanim się przybliży i wciąż nosem ciągnie i po ziemi niucha i jakby co tego, to zaraz zmiarkuje.

Razu jednego wyciągnęliśmy z pod harpy pięcioro młodych wilcząt i przynieśliśmy je do dworu. Zaraz potem, tej samej nocy, podeszła stara wilczyca pod sam dwór i okrutnie żałośliwie wyła. Na drugą noc było to samo, tylko przyprowadziła se pomoc i jedne stały w klombie na czatach, a wilczyca weszła na ganek i na ganku wyła. Bo trzeba państwu wiedzieć, że właśnie we dworze były schowane wilki i to na górze. Trzeciej nocy przyprowadziła ona jeszcze większe stado i sama do okien się wspinała, a reszta stała w klombie. Niezmiernie ciemna noc, nie pozwalała śmiało strzelać w kupę, bo były we dworze tęgie ogary i okrutnie zaciętą wojnę z niemi prowadziły. Strzelało się tylko na stracha, w górę, ażeby je odpędzić. Ale pomyślcie tylko, moi państwo, jakie to wilczyca przywiązanie ma do swych rodnych dzieci i jak chce ich bronić, nie zważając już nawet na możliwą śmierć. Co to jest matka i jej miłość dla swoich!

Powiem ja państwu jeszcze jedną ciekawą „historję". Miał tu we wsi chłop owczarnię, wybudowaną z kamienia, ale nizką, taką jakby na ten przykład Dominowa piwnica, z niziutkiemi, małemi okienkami. Otóż zwietrzył tam wilk te owce i chodził w nocy i medytował przy okienku, jakby te owce stamtąd dostać, lub też je wystraszyć — i wymyślił tak:

Wsadził on ogon przez mały otwór okienka i trząsł nim jak wiechą na postrach owiec. Chłop usłyszawszy okrutny łomot w owczarni, poszedł patrzeć co się dzieje — a trzeba państwu wiedzieć, że ta jego owczarnia stykała się razem z chalupą. Więc kiedy wszedł do tej owczarni i nasłuchiwał i uspokajał owce, ujrzał po chwili kitę wilczą w okienku piwnicy. Miesiąc jeszcze świecił, więc dojrzał on doskonale, jak wilczysko wielkie przy okienku siedziało i tak trząsł ogonem, że aż mu warczał furkocząc, a owce latały jak kołowate, od kąta do kąta. Wówczas to chłop splunął w garście i chwycił wilka za ogon. Jak go tak niespodzianie ułapił, wilk ile tylko sił miał, tak jął szarpać na wszystkie strony. Ale chłop był krzepki w garści i miał dobre oparcie wedle muru, więc mocno go trzymał, ciągnął ku sobie i ani myślał puszczać. Wilk obracał się, chwytał zębami za zad,

chciał już widocznie odgryźć sobie ogon, by się tylko uwolnić z tych kleszczy, ale jakoś mu się to nie udało. Aż chłop zaczął krzyczeć w niebogłosy o ratunek, gdyż mu już ręce nieco mdlały z wielkiego wysiłku, jednakże z takiej to piwnicy głos się nie rozchodził, więc nikt go nie słyszał. W dodatku była to pora zimowa i godzina późna w nocy. Jednak chłop wciąż go jeszcze trzymał za wiechę. Wreszcie bojąc się, żeby mu się ogon ze skóry nie omknął, sięgnął do pasa po cyganek i trzymając jedną ręką za wilczy ogon, otworzył zębami ostrze i chlasnął jak mógł najkrócej po wilczej kicie. Wilk tylko skomlnął, jakby zdławiony i pomknął.

— Nie będziesz teraz draniu miał czem kóz poganiać — wyrzekł spocony chłop — i z wilczą wiechą w garści wrócił do izby, by babie swojej ogonem do ślipiów naszturgać za jej twardy sen. Odtąd wilk kusy znany był już okolicy całej, aż w tejże samej owczarni padł trupem na miejscu. Zdarzyło się tak, że po upływie pewnego czasu, przyszedł on jeszcze raz do tejże samej owczarni i przez wierzch dachu wpadł do środka. Usłyszał znów łomot chłop i na ten hałas wszedł z latarnią w ręku do owczarni i ujrzał tam w kącie świecące ślipie wilka. Co duchu więc wypadł z owczarni i zatrzasnąwszy za sobą drzwi, podparł je mocno i jął krzyczeć:

— Bywaj — wilk!

Gromada chłopów nadbiegła i zaczął się samosąd. A były w robocie widły, kłonice i drągi żelazne—choć przedtem wszystkiem mój nabój pełny loftek.

— Za moje owce, za moje prosię, za moje świnie—śmigały kłonice i drągi.

Tak skończył żywot wilk kusy, przypłaciwszy życiem swoje łakomstwo i zbytnią śmiałość.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).



Treść: Pielęgnowanie drzewostanów sosnowych na słabych siedliskach.— Polowanie na strefowe kuropatwy.—Karczownik i przyrząd do wywracania drzew „Obr“ (Olbrzym-Goliat) Leśniczego Józefa Obr a w Petrosicach pod Kutną Horą (Czechy).—Czy kaczki wietrzą?—Próby z karczownikami.—Kartka z mojego pamiętnika łowieckiego.—Niezwykli goście w Pilawinie. — Projekt jarmarków leśnych w Wilnie. — Różne.— Listy do Redakcji.—Wywczasy na leśniczówce: Gawędy starego gajowego Pawła Gałązki.

Warunki przedpłaty z dostawą. W Warszawie i na prowincji: rocznie rb. 8.— półrocznie rb 4. — kwartalnie rb. 2. — za granicą: rocznie koron 24. — lub marek 20, — półrocznie kor. 12 lub mk. 10, — kwartalnie kor. 6 — lub marek 5.; — pojedyncze numera 40 kop.

Warunki ogłoszeń: Przed tekstem: cała strona rb. 60, pół str. 32, $^1/_4$ str. rb. 18, $^1/_8$ str. 10 rb., $^1/_{16}$ str. rb. 5 k. 50. Po tekście: cała stronica rb. 50, $^1/_2$ stron. 28, $^1/_4$ str. rb. 16, $^1/_8$ str. rb. 8.50 i $^1/_{16}$ rb. 4.50.

Przedpłatę przyjmuje administracja, jak również każda księgarnia w Warszawie, na prowincji i za granicą.

Komplety za rok 1912 w ozdobnej oprawie otrzymać można po cenie Rs. 5 kop. 50 wraz z przesyłką w Administracyi. — Za zaliczeniem kop. 20 drożej.

Za listy nadesłane do Redakcji pismo nie bierze żadnej odpowiedzialności.

Ze zmianą adresu prosimy nadesłać po 20 kop. w znaczkach pocztowych.

Wydawca: **Gustaw Buseck-Busecki.** Redakcja i Administracja: **Nowy-Zjazd Nr. 7.** Za redaktora: **Zygmunt Dekler.**

Druk A. Zięckowski i S-ka Warszawa, Widok 3. Telef. 135-10.



Z puszczy Białowieskiej. Dodatek do »Gazety leśnej i myśliwskiej«.